ROCZNIK XI. Marzec 1907. Nr. 3.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

Turyn — Via Cottolengo, 32

TREŚĆ:

Do naszych Pomocników.



Celem ułatwienia korespondencji pomiędzy nami a naszymi Pomocnikami, jak również pragnąc uniknąć bądź nieregularnego odbierania naszego czasopisma, bądź odrzucania go dla błahych pozorów na poczcie przez niektórych zbyt gorliwych urzędników państwowych, pożądanem jest, ażeby

1) w każdym liście (lub też na jakiejbądź przesyłce) wypisywać dokładny swój adres: tj. imię, nazwisko, miejsce pobytu, ulicę i liczbę domu, pocztę (jeśli jej niema w miejscu), powiat i prowincję — a w *Królestwie Polskiem* **i w t. zw.** *krajach zabranych* **gubernię;**

2) takiż sam dokładny adres podawać, nadsyłając spis nowych członków do Związku Pomocników Salezjańskich, przyczem wyraźnie należy oznaczyć tych, którym ma się posyłać *Wiadomości Salezjańskie;*

3) o każdej zmianie miejsca pobytu (czyli o zmianie swojego adresu) donosić, i to możliwie natychmiast do Turynu, ażeby Administracja mogła zawczasu poczynić w księgach odnośne poprawki;

4) nadsyłając ofiary, wyrażać zawsze jasno i dokładnie, iż taką a taką sumę przeznacza się na tyle i tyle Mszy świętych, na misje, na nowennę do M. B. Wspomożenia Wiernych itp., albo że ją się przysyła po prostu jako ofiarę na potrzeby Zgromadzenia Salezjańskiego. — Co *dotyczy przesyłania ofiar na Msze święte,* **prosimy w tym względzie trzymać się ściśle miejscowej taksy dyecezjalnej;**

5) listy i wszelkie przesyłki, wysyłane do Włoch, opłacać dostatecznie (na zwykły list, wysyłany z Prus, przylepia się znaczek pocztowy za 20 fenygów; z Austrji za 25 halerzy; z Rosji za 10 kopiejek). Pocztówki (karty korespondencyjne) kosztują: z Prus: 10 fenygów; z Austrji: 10 halerzy; z Rosji: 4 kopiejki.

Kładziemy nacisk szczególnie na ten ostatni punkt, ponieważ obecnie nasz czcigodny Jenerał, Ks. Michał Rua, otrzymuje niemal codziennie kilka listów niedostatecznie opłaconych, — i musi wskutek tego płacić poczcie grubą taksę.

Mamy też niepłonną nadzieję, że Przezacni Pomocnicy i Szlachetne Pomocnice zechcą się odtąd do wszystkich powyższych uwag — a głównie do tej ostatniej łaskawie zastosować.



Dominik Savio.





Dzieje kościelne dowodzą, że nabycie świętych młodzieniaszków jest wyższem zatwierdzeniem zakonów i zapowiedzią ich powodzenia. Przemawia za tem istnienie Ludwika z Tuluzy i Jana z Burgundji u Braci Mniejszych, Imeldy Lambertini u SS. Dominikanek, Michała de Santi u Trynitarzy Bosych, Hieronima Tiraboschi u Synów św. Kamila, Wiel. Castelli u Barnabitów, br. Gabryela od M. B. Bolesnej u Pasyonistów, chwalebnej trójki Kostki, Gonzagi i Berchmannsa w Towarzystwie Jezusowem i innych wielu, którzy w przeciągu niewielu i najburzliwszych lat życia swego zajaśnieli cnotą podniesioną do bohaterstwa, nagrodzoną nadzwyczajnymi darami.

W naszych czasach takim zwiastunem niezwykłego powodzenia był dla ks. Bosko szereg miłych chłopczyków: Gabryela Fassio, Alojzego Ruy, Kamila Gavio, Jana Massaglii i innych, których krótkie życie równało się biegowi lat wielu. Ale o nikim świątobliwy założyciel Zgromadzenia Salezjańskiego nie pisał z tak rozpłomienionem uczuciem, z takim porywem i ojcowskiem upodobaniem, jak o piętnastoletnim Dominiku Savio. Piękny jest jego życiorys pióra ks. Bosko. Mała broszurka, cenniejsza od wielu tomów, oddaje najwierniej postać pisarza i obraz niewinnego chłopca. Mądrością nacechowane jest kierownictwo ks. Bosko i dziwna mądrość bije również od małego Dominika, który bez wertowania tomów wnika w tajniki prawdy i ascezy i ponad ziemię się unosi cudowną znajomością Stwórcy i jego woli. Oddany Bogu i w nim pogrążony, w czwartym roku życia i w piętnastym, w kołysce i nad grobem, w Murialdo, w Castelnuovo d'Asti, w Mondonio i w Turynie jest lilją nietkniętą, jest serafinem pobożności, aniołem dobroci.

W domu rodzicielskim, w szkole, w Oratorjum ks. Bosko ujawniały się w nim cnoty tak wysokie i tak nadzwyczajne dowody świątobliwości, że za życia był podziwem i wzorem młodzieży, a po śmierci stał się wymarzonym ideałem doskonałości, do którego tysiące młodzieńców w zakładach salezjańskich zdążało, dąży i dążyć będzie.

Pod naciskiem nadmiaru życia fizycznego, pod wpływem nauk i lektur, stosunków, przyjaźni, zepsucia i prasy, niejedno młodzieńcze serce byłoby padło pastwą namiętności i ofiarą rozpaczy, gdyby znajomość Dominika Savio nie była mu wskazała, jak z niebezpieczeństw cało wychodzić, jak godzić surowość z wesołością, niewinność obyczajów z uczuciowością serca, godność ze skromnością, życie wewnętrzne, doprowadzone do najzupełniejszego połączenia się z Bogiem, z ciągłymi, licznymi i trudnymi zabiegami życia doczesnego.

Dnia 9. marca 1907 pięćdziesiąt lat upływa od śmierci Dominika Savio.

Celem wzniesienia nowego i bogatego grobu dla jego szczątek śmiertelnych i odnowienia kościoła, w którym grób będzie pomieszczony, zawiązał się w Turynie komitet złożony ze sędziwych jego współtowarzyszy i licznych wielbicieli. Do tego komitetu przystąpiły wszystkie domy salezjańskie, które ponadto z polecenia samego ks. Jenerała w tym roku szczególniejszym obchodem uczczą pamięć świętego młodzieniaszka, wydadzą w kilku językach jego żywot skreślony przez samego ks. Bosko i modlić się będą o rychłe rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego.

***

Dominik Savio urodził się 2. kwietnia 1842 w Riva di Chieri pod Turynem. Już w pierwszych latach swego życia był w małych rozmiarach tem, czem stał się w Oratorjum ks. Bosko: przykładem pobożności i cnoty. W Murialdo jako pięcioletni chłopczyk zadziwiał wszystkich niewinnością życia i skromnością w kościele. Do Komunji św. przypuszczony został zupełnie wyjątkowo w siódmym roku życia i wtedy napisał sobie takie postanowienia:

„Postanowienia zrobione przezemnie Dominika Savio w roku 1849, gdy po raz pierwszy w siódmym roku życia przyjąłem Komunję św.:

1. Będę się spowiadał bardzo często i przyjmował Komunję św. tyle razy, ile mi spowiednik pozwoli.

2. Chcę święcić dni świąteczne.

3. Przyjaciółmi moimi będą Jezus i Marja.

4. Raczej śmierć, niż grzech.“

Pilnością i anielskimi obyczajami zdobył sobie miłość nauczycieli i poważanie współuczni w szkołach w Murialdo, w Castelnuovo d'Asti i w Mondonio. W październiku 1854 r. zapoznał się z ks. Bosko a w kilka dni potem wstąpił do turyńskiego Oratorjum. Pod umiejętnem kierownictwem świątobliwego kapłana robił wielkie postępy w naukach gimnazjalnych, ale nierównie większe w cnotach, pobożności i gorliwości o chwałę Bożą. Najczulsza miłość ku Matce Boskiej, codzienna Komunja, różne pokuty cielesne, umartwienia zmysłów, przyjaźń



Dominik Savio.

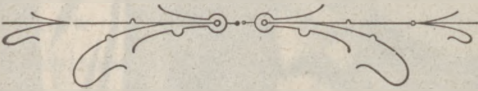
z innymi przykładnymi młodzieńcami wyniosły go na tak wysoki szczebel doskonałości, że ks. Bosko zauważył w nim niejednokrotnie dary nadzwyczajne.

Nie brakło w jego życiu zakładowem faktów i epizodów, które go stawiają na równi z wielu wzorami doskonałości i wynoszą postać jego wysoko ponad przeciętny typ chłopca-studenta. Z powodu choroby opuścił Oratorjum 1. marca

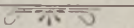
1857 r. i powrócił do domu rodzicielskiego w Mondonio, gdzie zmarł w ośm dni potem z anielskim uśmiechem na ustach, wołając do ojca: „O! jak piękne rzeczy widzę!"

Z pod pióra ks. Bosko wyszedł opis cudownych zjawisk i łask przypisywanych jego wstawiennictwu, które dziś mają tylko znaczenie zeznania wiarogodnych osób, ale kiedyś dostarczą materjału do procesu beatyfikacyjnego.

Mamy nadzieję, że żywot jego napisany przez ks. Bosko ukaże się jeszcze tego roku w polskim przekładzie. W naszych czasach godzących wszelkimi sposobami na wiarę i obyczaje młodych pokoleń, niech młodzież polska czyta te proste a piękne stronice i niech się wzoruje na przykładach tej tak sympatycznej i pięknej postaci katolickiego młodzieńca.



Związek Pomocników Salezjańskich.



Dla zaznajomienia wielu nowych czytelników naszego pisma z rozgałęzioną po całym świecie i słynną ze swej działalności instytucją tak zwanych Pomocników Salezjańskich, *podajemy poniżej kilka treściwych wiadomości o jej powstaniu, celu, organizacji i korzyściach duchownych.*

1. — Gdy 1841 roku ks. Bosko począł gromadzić dzieci biedne i opuszczone, które zbierał po placach i ulicach Turynu, Opatrzność zesłała mu wkrótce gorliwych współpracowników. Wielu świeckich księży spieszyło co wieczór i w niedzielę na Valdocco, aby się otoczyć i zająć dziatwą, uczyć ją katechizmu, udzielać nauki w klasach wieczornych i umieszczać terminatorów u majstrów. Ponieważ cały ten drobny ludek był w łachmanach, pobożne damy turyńskie wzięły na siebie obowiązek naprawiania ich odzieży lub robiły nawet nową.

Taki był początek Związku Pomocników Salezjańskich, który dzisiaj liczy przeszło 270.000 członków.

Ponieważ instytucja taka okazała się od samego początku bardzo potrzebną i żywotną, członkowie zwrócili się do ks. Bosko z prośbą, aby jej nadał stałą formę i przepisy normujące jednolite i trwałe działanie. W roku 1858 ks. Bosko skreślił projekt programu, który ulepszony i rozwinięty (1864 i 1868), został przedłożony w dzisiejszem brzmieniu Piusowi IX. w roku 1874. Po koniecznem zatwierdzeniu Związku i gorącej zachęcie prywatnej, Pius IX. brewem z dnia 9. maja 1876 nadał mu liczne odpusty i zażądał, aby jego imię znajdowało się na czele spisu członków.

Leon XIII. zaraz po wstąpieniu na tron papieski zapragnął zostać pomocnikiem i *pracownikiem* salezjańskim, Związkowi nie szczędził błogosławieństw i zachęty, i zamianował kardynała Wawrzyńca Ninę a nastypnie kardynała Parochiego jego protektorem.

Wreszcie Pius X, który już w latach swego biskupstwa był gorliwym zwolennikiem idei księdza Bosko, wydał 17. sierpnia 1904 roku pamiętny autograf o działalności księży i pomocników salezjańskich, a świętej Kongregacji Odpustów i Relikwji polecił dokonać spisu odpustów, przywilejów i indultów, które Pomocnikom Salezjańskim nadane zostały, co św. Kongregacja uskuteczniła dekretem z dnia 28. października 1904 r.

2. — Związek Pomocników Salezjańskich ma być punktem środkowym, około którego gromadzić się mogą wszyscy ludzie dobrej woli, którzy na obfite żniwo Pańskie i na brak w niem robotników nie chcą patrzeć okiem obojętnem. Pomocnicy powinni w granicach możliwości popierać urządzanie nabożeństw, wyszukiwać i ratować powołania duchowne i zakonne, rozszerzać dobre książki, wspierać dzieci biedne i opuszczone, narażone na zgubę, i w miarę sił podtrzymywać zakłady salezjańskie bądź własną ofiarą, bądź jałmużną zebraną u osób dobroczynnych. Pomocnicy nie mają jednak żadnych stałych zobowiązań pieniężnych, lecz bądź corocznie, bądź też częściej ofiarują tyle, ile im wskaże ich litościwe serce, a ofiary swoje wysyłać mogą do najbliższego zakładu salezjańskiego.

Wszelkie wkraczanie w politykę jest programowi Związku Pomocników Salezjanskich obce i przeciwne.

3. — Pomocnikiem Salezjańskim może zostać każdy, kto ukończył 16sty rok życia, pod względem religijnym i obywatelskim cieszy się dobrą sławą i jest w możności wspierać zakłady salezjańskie albo sam przez się (własną pracą, modlitwą lub jałmużną), albo przez innych, zachęcając ich do tego, czego sam czynić nie może. Przynależenie do Związku nie wiąże nikogo w sumieniu, stąd Pomocnikami mogą być całe rodziny, Zgromadzenia zakonne, Towarzystwa, Za-

kłady i t. d., a to za pośrednictwem swoich rodziców, przewodniczących lub przełożonych.

Związek poleca się łaskawości i opiece miejscowych władz kościelnych, a podlega Jenerałowi Zgromadzenia Salezjańskiego, który jest jego prezesem i przełożonym. Dyrektor każdego domu salezjańskiego jest upoważniony do zapisywania zgłaszających się członków, których imiona, nazwiska i miejsce zamieszkania przesłane będą ks. Jenerałowi celem umieszczenia ich w głównym spisie i doręczenia im dyplomu przyjęcia. Każdy Pomocnik może każdej chwili przedstawić ks. Jenerałowi wszystko to, co uważa za stosowne dla dobra *Związku*, a gdyby zachorował lub pragnął jakiej łaski, może o tem zawiadomić najbliższy dom salezjański lub samego ks. Jenerała, który zarządzi osobne modlitwy za niego. — Po śmierci członków odprawiają się osobne nabożeństwa za ich duszę.

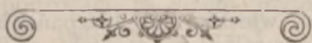
Organem Związku Pomocników Salezjańskich jest ilustrowany miesięcznik „*Wiadomości Salezjańskie*", który członkom wysyłany bywa darmo.

4. — Od chwili wpisania się do Związku, Pomocnicy Salezjańscy, którzy zachowują ustawy Związku i odmawiają codziennie na intencję Ojca św. *Ojcze nasz*, *Zdrowaś*, *Chwała Ojcu*, oraz wezwanie: *Święty Franciszku Salezy*, *módl się za nami*, korzystają ze wszystkich odpustów, przywilejów i indultów objętych wykazem św. Kongregacji z dnia 2. października 1904 roku. *Wiadomości Salezjańskie* podają skarby duchowne, które uzyskać można w miesiącu następnym. *Przewielebnemu Duchowieństwu* zwracamy uwagę na to, że Pomocnicy Salezjańscy, którzy są kapłanami, mogą w trzy dni każdego tygodnia korzystać z indultu **ołtarza uprzywilejowanego** osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze takiego indultu na inny dzień tygodnia.

Ponadto Pomocnicy Salezjańscy korzystają ze wszystkich mszy św., modlitw, nowenn, ćwiczeń duchownych i t. d. oraz ze wszystkich uczynków miłosiernych spełnianych na całym świecie przez Zgromadzenie Salezjańskie.

Dalsze szczegółowe wiadomości o Związku, zbiór ważnych dokumentów, jako też dokładny wykaz skarbów duchownych zobaczyć można w broszurce: *Ustawy Pomocników Salezjańskich*, którą z dyplomem otrzymuje każdy nowy członek.

Zgłoszenia i korespondencje najlepiej adresować do *Zakładu Salezjańskiego w Oświęcimiu*.



W SPRAWIE EMIGRACJI POLSKIEJ.

Turyn, w styczniu 1907.

WIELEBNY KSIĘŻE REDAKTORZE!

W chwili, gdym wyjeżdżał z kraju, pojawiły się w niektórych czasopismach ostrzeżenia przed wychodźtwem do Argentyny. Jako znawca tamtejszych stron i stosunków, na które przez 14 lat patrzałem, poczytuję sobie za obowiązek zabrać w tej sprawie głos.

Czy i o ile Argentyna nadaje się dla naszej emigracji, to kwestja, której rozwiązanie nie powinno opierać się na jakimkolwiek chwilowym pomyślnym lub niepomyślnym zbiegu okoliczności, lecz na gruntownem zbadaniu dodatnich i ujemnych stron tego dziewiczego kraju. Po setny to już może raz zaznaczam, że marzeniem mojem jest zupełne przytłumienie ruchu emigracyjnego przez dobrobyt, oświatę i postępową pracę w kraju; lecz dopóki jakieś głębsze uświadomienie nie ogarnie całego naszego ludu pod wszystkimi zaborami i nie wskaże odpowiedniego toru jego dążnościom wywołanym nie tylko potrzebami materjalnemi, ale i żądzą szerszego poglądu na świat i na ustrój ogólno społeczny, dopóty ruch ten emigracyjny istnieć będzie wbrew wszelkim choćby najwiarogodniejszym wiadomościom o niekorzystnych warunkach tego lub owego kraju czy to w Europie, czy też poza oceanem. Te zastępy analfabetów, które niestety uchodzić mogą za charakterystyczne cechy niektórych naszych okolic i najwięcej dostarczają żywego towaru ajentom różnego rodzaju, to dowód najlepszy, że miasto przestrzegać, należałoby pierwej oświecać.

Co więcej: Tłumić ten objaw gwałtownymi środkami, byłoby taką samą niedorzecznością, co kusić się o powstrzymanie gwałtownego naporu górskiego potoku. Zaporą można na chwilę powstrzymać wodę w jej biegu, lecz potem nastąpi przerwanie wału i spustoszenie. Przeciwnie, jeżeli wodę potoku ujmiemy zręcznie w odpowiednie łożysko, jeżeli nadamy jej stosowny kierunek, to z nieoszacowaną korzyścią będziemy mogli zużyć jej siłę dla naszych celów. I w samej rzeczy podczas kil-

komiesięcznego pobytu w kraju zauważyłem, że emigracja jak na razie jest w naszem społeczeństwie objawem nieuniknionym i mało obserwowanym. Możnaby tym prądem pokierować według naszej myśli i życzenia, a jednak z rażącą obojętnością patrzy się na utratę własnych sił narodowych, albo też popada się w złudzenie, jakoby czarnym opisem lub komunikatem urzędowym można lud nastraszyć i w kraju zatrzymać. Daremne, spóźnione, chybione to wysiłki.

zbliża się do warunków, w których się urodził i wychował nasz przeciętny chłopek-rolnik. Odstępując innym rzeczowe rozpatrzenie stosunków, które przemawiają za i przeciw emigracji do Ameryki północnej i do Brazylji, zajmę się sam rozbiorem ostrzeżeń dziennikarskich przed wychodztwem do Argentyny, którą znam dokładnie pod względem etnograficznym, klimatycznym i kolonjalnym.

Że w Argentynie mniej ceniony jest wychodźca galicyjski, to na to rozmaite i drażliwe skła-



Z Misji Ks. St. Cynalewskiego.
W namiocie dozorującego zastępem « gauciów » *(pastuchów) w Pampasach.*

Punktem oparcia naszego wychodztwa za morze mogą być: Północna Ameryka, gdzie wysokie wymagania pod względem finansowym, umysłowym, fachowym i fizycznym coraz to więcej utrudniają przystęp naszemu wychodźcy; Brazylja, gdzie nie wszystkie okolice nadają się dla naszego emigranta z powodu gorącego klimatu i innych okoliczności, mianowicie zaś z powodu odmiennej uprawy ziemiopłodów, które naszemu wychodźcy zaledwie z nazwiska są znane: nie jest to bowiem kraj żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia, grochu, ziemniaków itp; wreszcie Argentyna, którą wiele się nie zachwycam, chociaż klimatem i rodzajem ziemi

dają się okoliczności. *Veritas odium parit.* Dość zaznaczyć, że osoby w pierwszym rzędzie powołane do ratowania przybyszów, nie zawsze odpowiadają swemu zadaniu. I tak reprezentant pewnego rządu, na zażalenie wniesione przez emigranta polskiego, odpowiedział jak następuje:

Buenos Aires, dn. 21. 11. 1903, l. 1978.

„Odebrałem list Pański z dn. 15. b. m., lecz język tegoż jest mi zupełnie niezrozumiały; proszę więc wnieść zażalenie w języku niemieckim, włoskim lub hiszpańskim, ażebym mógł poznać o co chodzi... W tym konsulacie

niema nikogo, ktoby rozumiał po polsku lub po rusku, wskutek czego nie uwzględnia się użaleń pisanych w tych językach... Zażalenie do c. k. Konsulatu należy przedstawić w należytej formie, gdyż bez tego nie bierze go się pod rozwagę."

Tak wychodźca nasz za morzem pozostawiony na łaskę i niełaskę losu, pracujący wśród obcego żywiołu, nie mający nikogo, ktoby go wyręczył w doniesieniu do kompetentnej władzy



Z Misji Ks. St. Cynalewskiego.
Katechizacja w przejeździe u kapitanejo (podkacyka) Nicenkumay.

swych skarg na krzywdy, jakich los mu nie szczędzi, zabiera się jak umie sam do pisania w języku ojczystym, a skarga jego jest odrzuconą dlatego, że nie wniósł podania w języku zupełnie mu nieznanym. Zaniedbaniem oświaty ludu i niedostateczną troską o rozwój przemysłu rozbudza się w kraju emigrację, a za morzem nie dba się o nią: za to pojawiają się w dziennikach ostrzeżenia!... Taka opieka według mego zdania dobrą nie jest.

Że Argentyna zaledwie na sezon żniw dostarcza pracy, że w ostatnich czasach ziemia znacznie podrożała, te i tym podobne twierdzenia oraz ostrzeżenia przed wychodztwem do tego kraju proszę zestawić z tym faktem, że Argentyna na 2.500.000 km.^{2} żyznej ziemi liczy tylko 5 miljonów mieszkańców, podczas gdy np. Galicja, której obszar stanowi 35tą część argentyńskich obszarów, ma przeszło 7 miljonów ludności. To znaczy, że w stosunku do ilości mieszkańców Galicji, Argentyna może ich pomieścić 240 miljonów. Jeżeli z rozmaitych względów potrącimy poważną liczbę 40 miljonów, to na argentyńskich obszarach pozostaje dogodne miejsce dla okrągłej liczby 200 miljonów ludności. Dzisiaj takie zaludnienie Argentyny równałoby się zupełnemu wyludnieniu nie tylko Galicji, ale kilku nawet państw europejskich. Dalej ostrzeżenia umotywowane przejściowemi trudnościami, nikną wobec tej rzeczywistości, że pomiędzy innemi Argentyna oprócz swych bezludnych i ogromnych obszarów, przeważnie żyznych, posiada (zwłaszcza w górach) najrozmaitsze kruszce, od żelaza aż do najszlachetniejszych, których tylko dla braku komunikacji i robotnika wydobywać nie może; dalej że Argentyna pomimo słabego zaludnienia, stanowi cenę pszenicy na rynku wszechświato-

wym, co stwierdza urodzajność jej gleby; że Argentyna wytwarza już dzisiaj poważną konkurencję w handlu mięsem, skórami i wełną, że wreszcie Argentyna na ogromnej przestrzeni styka się bezpośrednio z morzem, co jej ułatwia komunikację z całym światem. Są to tylko główniejsze rysy i to naturalnych przymiotów, zapewniających jej świetną przyszłość. A któż potrafi dziś ocenić przyciągającą siłę tego kraju, kiedy przemysł na dobre w nim zakwitnie?

Objawy takiego znaczenia należy mieć koniecznie na względzie w kwestji naszego wychodztwa, mogącego dojść do nieprzewidzianych jeszcze rozmiarów.

Poza sezonem żniw w Argentynie, brak pracy dlatego właśnie daje się tam we znaki, że przemysł na nizkim jeszcze stoi stopniu; lecz nie potrwa może długo, a przedsiębiorcze umysły obcych nam żywiołów, tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w Argentynie, korzystać będą z pracy rąk miljonów naszych wychodźców, — tak jakby wyrokiem ciążyło już na nas, że w doli czy niedoli zawsze dla obcych pracować i od nich zależnymi być nam trzeba, jak gdyby nam brakło tego ducha przedsiębiorczej energji, co wspólnemi siłami może zapanować nad światem.

Ostrzeżenie tylko wtedy opiera się na racjonalnej podstawie, jeżeli w grożącem niebezpieczeństwie podaje odpowiedni sposób wyjścia. Napróżno kusić się będziemy odwieść zgłodniałego od spożycia pokarmu, który niekorzystnie może wpłynąć na jego organizm, jeżeli mu innej lepszej strawy nie damy. Wytrącić komu z ręki deskę ratunku dlatego, że licha, a nie podać mu innej, to znaczy: siać rozpacz i zgubę.

Niebezpieczeństwo, jakie pod względem moralnym i narodowym przedstawia dla kraju emigracja za morze, możnaby wcześnie zażegnać należytą organizacją opieki przed i za morzem. W tym celu należy mojem zdaniem zebrać jak najliczniejsze dane i poglądy rzeczoznawców, a dopiero na podstawie tego materjału opracować można jak najpraktyczniejszy program ruchu, z uwzględnieniem wszystkich jego faz i właściwości krajów zamorskich. Jakkolwiek przypuszczam, że akcję tę popartą i dozorowaną przez sfery urzędowe oraz przedstawicieli zagranicznych, z pożytkiem powierzyćby można prywatnemu przedsiębiorstwu, to jednak ponownie z naciskiem zaznaczam, że sprawa ta ze wszech miar zasługuje na to, aby się nią zajęło całe społeczeństwo, a zwłaszcza kler i sfery inteligentne. Czas przebudzić się, zrozumieć wysokie znaczenie tej kwestji i przystąpić do pracy!

Pozdrawiam i całuję Drogiego Księdza.

Ks. Stanisław Cynalewski.



Z DZIEJÓW MISJI

wśród ekwatorskich Kiwarosów.

(Ciąg dalszy).

U władcy szczepu.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca strzeliły miljonami rubinów na śnieżyste szczyty gór; zabłysły pagórki, zajaśniały tysiącem pereł skąpane w rosie lasy, łąki zakołysały się wonnie, a ptactwo z głośnym chorowodem wzleciało ku niebu.

W domku misyjnym, po odprawieniu rannych nabożeństw, każdy chwytał się swej codziennej roboty: ten biegł do gaju bananów, ów do pasącej się trzody. Ojciec Kiwaro tymczasem pod wrażeniem z ostatnich dni usiadł przy oknie, oparł głowę na ręce i popadł w zadumę. Ciężka praca, po tylekroć zaczynana, przerywana ciągle nowymi, nieznanymi dotąd stanami psychicznymi tego ludu żyjącego w lasach, a mimo to odznaczającego się zmysłem praktycznym, cechującym naród o dawno przebytej drodze cywilizacyjnej: były to zagadki trudne do rozwiązania i niejedną przedstawiające silną zaporę w dalszej pracy ewangelizacyjnej.

Tymczasem jaskółki, w chyżym locie szybujące za zdobyczą w czystej aurze, wesołym szczebiotem witały jasny poranek, a w gąszczach krzaków samotny chrząszcz kończył swą monotonną nutę.

Dzień już był zupełny, gdy Ojciec Kiwaro

ocknął się ze swoich smętnych marzeń. Wzrok jego padł na uprawną od niedawna polanę, potem na gęsty las, gdzie pośród najbliższych konarów wzbijała się prostym słupem czarna smuga dymu. Było tam mieszkanie *Nantipy* (1).

Pora na umówioną wizytę była zawczesna; mimo to Ojciec Kiwaro nałożył swój słomiany kapelusz o szerokich brzegach, wdział długie buty, w rękę wziął sękaty kij i wolnym krokiem wyszedł w pole. Wnet otoczyły go uprawne niwy, bujne zielenią i kłosem, potem gęsty lasek smukłych młodorośli. Na obszernej polanie, pełnej niewykarczowanych pniaków, pasło się liczne stado bydła pośród skarłowaciałych wici, wydostających się z ziemi kosztem ostatnich wysiłków życiowych korzeni dawnych olbrzymów. Po nieznacznej pochyłości wspinał się dalej z szumem gęsty las liściasty, pełen najróżnorodniejszego ptactwa, które w głośnych trelach witało nowy śliczny dzionek letni. Niezliczone ścieżki wiły i plątały się tam w zupełny labirynt. Raz musiałeś się przedzierać przez gąszcze, to znowu czołgać się prawie pod olbrzymiemi wiszącemi zaroślami; tu grząskie błoto, gdzieindziej czyhała rodzina pająków, by ci ubrać twarz w swe olbrzymie sieci. Szedł misjonarz w kierunku, skąd wznosił się dym, widziany z okna mieszkania, ale długo błądził, zakołysał się na niejednej śliskiej kładce, przerzuconej przez cuchnące błota, nim wreszcie ujrzał widną przestrzeń uprawną. Była to posiadłość *Nantipy*. Liczne zagony *juki*, *acioty*, kawy, poprzedzielane bujnemi łąkami o częstych źródłach i strumykach, miały w sobie cały powab życia podzwrotnikowego: w samym środku niewielkie usypisko, zasadzone gęsto drzewami owocowemi, a pośród nich mieszkanie właściciela. Jest to prosta chata, o kształcie jaja, nad którą osobne żerdzi trzymały rozpięte coś na kształt chińskiego parasola, w odległości zaś paru zaledwie kroków otaczał obejście gęsty ostrokół, stanowiący zarazem jedyną obronę przed napastnikiem. Misjonarz zatrzymał się na chwilę, rozejrzał się dokoła, aktem strzelistym wezwał pomocy nieba, a następnie, co miał sił, zawołał: „*Sziłoraci, sziłoraci; winiachaj, winiachaj* — Kiwarosie, Kiwarosie, przychodzę, jestem!“

Z wnętrza ozwał się na to gromki bas męski: „*Winita, winita* — bywaj, bywaj!“ Dokończyło alarmu kilkanaście olbrzymich kundli, które zaczęły szarpać się na łańcuchach i ujadać tak wściekle, że całe zarośla grzmiały ich bezczelnem szczekaniem. Domostwo miało dwa ciasne wejścia po obu stronach węższych, a że nikt się nie ruszył na powitanie, Ojciec Kiwaro omijając ostrożnie błota w podwórzu, szedł prosto do najbliższego otworu. „Nie, nie tędy!“ zawrzasło razem kilka niewieścich głosów. Było to przejście wyłącznie dla kobiet. Obszedł więc dokoła oszczekiwany coraz chrapliwiej przez psy, i stanął w progu ciasnego otworu, kędy wchodzili mężczyzni.

Był w mieszkaniu magnata szczepu. Przez chwilę stał, nie rozeznając nic, gdyż słabe światło przedostające się do wnętrza jedynie przez szczeliny wśród pręcia, z którego uplecione były ściany, nie zdołało zapanować nad ponurością komnaty, gdzie na dobitkę tliło się ognisko, utrzymywane wiecznie trudno palnemi cielskami grubych kłód. Rzadkie promienie słoneczne, które przez konary drzew i ściany zdołały przedrzeć się do wnętrza, rzucały fantastyczne świetliste smugi różnokolorowe i symetryczne, które po niejakim czasie umożliwiały orjentację w pokoju. Na czterech łożach z trzciny, o piędź podniesionych nad ziemią, kłębiło się kilkanaście kształtów mężczyzn, dorostków i malców z nogami wystającemi ku ognisku. Postawy ich niezgrabne, ciężkie. Nieco dalej kilka innych takich *peak* o wysoko opleconych brzegach: to legowisko kobiet. Było ich tam kilka różnego wieku, między niemi zaś jakie pół tuzina psów o iskrzących się ślepiach i ogołoconych z sierści, a opasłych jak owe siedm chudych krów, które Faraon w swoim śnie był podziwiał. Wyróżniały się jeszcze dwa łóżka, uczepione nieco wyżej u słupów, które wychodząc z przeciwległych ognisk elipsy, wiązały się u góry i razem z jedną belką poprzeczną podtrzymywały lekki daszek. Była to misterna robota koszykarska tak szczelnie upleciona, iż żaden promyk, ani żadna kropelka deszczu nie zdołała się przezeń przedostać.

(1) Jednego z przywódców szczepu Kiwarosów.

Na powitanie przybyłego nikt się z miejsca nie ruszył; zato wlepili zdziwione oczy w gościa, potem z uśmiechem na ustach podawali mu ręce, które on po kolei uściskał. Nie przerwało to atoli zwykłego nastroju ani pracy. Syn *Nantipy*, który tkał sobie własnoręcznie swoje *itipi* (1), nawlekając przy pierwotnym warsztacie nici raz białe, raz czerwone, to znów szafranowe, nie odwrócił się nawet; mały dzieciak nagi, który w samym środku, po drugej stronie ogniska farbił bratu przędzę, nie zląkł się, ale wytrzeszczył oczy, włożył palec do ust i w niemej zadumie wpatrywał się w nieznajomego.

Nareszcie przerwał milczenie brat gospodarza *Wincenty*. Przetarł zaspane oczy, ziewnął raz i drugi, i wybąknął przeciągająco: — *Maagke pujamue*. Dobrze ci się powodzi?" Nantipa też przeciągnął się leniwie i dodał: — „*Puchusta*" — usiądź, poczem wzrokiem i giestem dał znać niewiastom by częstowały gościa.

W tej samej chwili weszła do mieszkania kobieta lat około trzydziestu, o twarzy zaokrąglonej, ustach szerokich, oczach wielkich jasnego koloru; wszystkie rysy tej typowej fizjognomji składały się na coś, co odpychało i przyciągało zarazem. Zrzuciła brzemię *juki* przyniesione co dopiero z pola, potem ruchem przypominającym chód kaczki poszła po naczynie, postawiła je na środku i zajęła się dziwną operacją. Siedząc na podłodze, przykucnięta wśród dwu garnków, nabrała garść juki z jednego z nich i zapchała nią sobie usta: policzki nabrzmiały, szczęki poszły w ruch a równocześnie ruszała się twarz w najdziwaczniejsze kształty. Od czasu do czasu palec niemiłosiernie zawracał do obowiązku te ziarna, które gwałtem przez zaciśnięte wargi chciały się uwolnić od zaciętej pracy zębów: ona tymczasem żuje, przewraca językiem i jeszcze żuje. Gdy nareszcie wszystko doskonale zmiażdżone i przesycone śliną, otwiera kobieta usta nad próżnym garnkiem, wypluwa ich zawartość aż do ostatniego kawałka i nowym materjałem zapycha jamę: tak czyni raz po raz aż do dostatecznej ilości. Ruch szczęk, któremu towarzyszyły małpie skurczenia twarzy, był naprawdę ciekawy. Poco ten trud? dla kogo ten chemiczny elaborat? Zagadka! Tymczasem cerbery nie zdołały się jeszcze uspokoić, obecni prowadzili dalej swe rozmowy, a gospodarz dopiero po chwili odezwał się do przybyłego:

— Cóż sądzisz o moim domu? Nie podziwiasz jego pięknej struktury, oraz gustu Kiwarosów?

— I owszem, bardzo. Naprawdę dom ten wart naczelnika szczepu. Lecz dlaczego ukryłeś się tutaj w lasach, na niedostępnem miejscu, wśród tylu ścieżek i ścieżynek, rzek, bagnisk, że trudno do ciebie trafić?

— Mój drogi, ty nie wiesz tyle, ile ja. Może twoi Kiwarosowie nie mają nieprzyjaciół; idąc za twoją radą, kochają się oni nawzajem. Tymczasem my wciąż jesteśmy sobie wrogami; a w razie wojny muszę koniecznie dbać o to, by nieprzyjaciel nie odnalazł mego mieszkania, by błądził po tych ścieżkach i wpadł ostatecznie w zasadzkę. Prawda, że nie zagraża nam nic od Kiwarosów gualakizkich, którzy są już chrześcijanami; zato inni sąsiedzi grożą nam napadem. Patrz, tam oto wisi *tundli* — i wskazał na wiszący na ścianie bęben, a właściwie wydrążony pniak okryty napiętą błoną: — gdy nadejdzie wojna, biję weń i zewsząd schodzą się do mnie współplemieńcy. Otaczamy dom drugim ostrokołem, za którym lokują się strzelcy, łucznicy i czeladź zbrojna w dzidy. Kto do czynnej walki niezdolny, czuwa nad tem, by dach i cały dom był bezustannie wodą zlewany.

— A dlaczegoż we wojnie polewasz dach wodą?

— Mówiłem już, iż twoi Kiwarosowie nie wiedzą, co to wojna! Trzeba ci tedy wiedzieć, iż nieprzyjaciel stara się wszelkim sposobem zapalić dom, rzucając nań płonące głownie — ha, ha, ha! Twoi Kiwarosowie zapomnieli palić, niszczyć, równać z ziemią dom przeciwnika... ha, ha, ha! Zaśmiał się głośno, a za nim wszyscy obecni śmiali się długo, głośno. Śmiał się i Ojciec Kiwaro, lecz wzrok jego padł znów na pracującą na ziemi chemiczkę. W umyśle jego zrodziła się wątpliwość, która wnet przeszła w pewność, iż ten elaborat, to przyszły napój na cześć gościa: iż jemu to pierwszemu przyjdzie zakropić usta tym nektarem. Co prawda

(1) Rodzaj togi.

dobra to była sposobność zbratania się z Indjanami, lecz z drugiej strony żołądek upominał się o swoje prawa. Zaniepokojenie misjonarza nie odpowiadało ogólnej wesołości, wśród której Nantipa prawił dalej o swym zmyśle praktycznym, który mu kazał zbudować dom osobno i na podwyższeniu, a to dla zapobieżenia zakażeniom w czasach epidemji, jak niemniej utrzymywać wieczny ogień w pokoju, by mieć sucho. Dom jego jest wzorem ochędóstwa; psy chude, by zdatniejsze były do ścigania zwierza; niewiasty jego skrzętne i posłuszne.

— A proszę zauważyć — mówił Wincenty, jakie nasze niewiasty hoże i silne! Ale bo my też obchodzimy się z niemi, jak kazali ojcowie. Tam oto na przykład żona Nantipy, jaka rumiana i zdrowa. Porównać jej nie można z kobietami u naszych sąsiadów. A nawet moja stara matka *Mici*, jaka jeszcze krzepka, pomimo że liczy już tyle lat. Ta druga, która przygotowuje *cicię* (1), nazywa się *Joasia*, i nie chce wyjść za żadnego Kiwarosa. Dwa razy uciekła już do chrześcijan. Gdy stara usłyszała swe nazwisko, wypluła prędko niedogryzioną jukę do naczynia i zawołała z miejsca:

— Nie prawda Aparu, że ty budujesz dom dla kobiet *apaci* (chrześcijanek), które noszą jak ty długie czarne *taraci* i mają okryte ręce i głowę.

— No i cóż z tego?

— Gdy przyjdą, ja zaraz do nich przystąpię i będę się ubierać jak one.

— Możebyś sama chciała pójść? zagadnęła stara *Mici*, uśmiechając się zazdrośnie. — Ja pierwsza tam pójdę i każę się przyodziać w piękne suknie, jakie ma *Jusa mukna* — (Matka Boska). Chórem zaśmiali się znów Kiwarosowie, najgłośniej zaś Nantipa i Wincenty. W końcu Ojciec Kiwaro oświadczył, że Siostry przybędą wkrótce, a wtedy wszystko będzie dobrze.

— Lecz tymczasem coś innego nastąpi — myślał sobie misjonarz. Jakim sposobem ja zdołam przełknąć owe przeżuwiny starej Joasi?...

I podczas gdy Nantipa cyceronował po stancji poobwieszanej tu tarczami, tam łukami i strzałami o zatrutych końcach, i pokazywał następnie włócznie, bębny, kołczany, oraz trofea wojenne i myśliwskie, Ojciec Kiwaro rozmyślał tymczasem w duszy: Ostatecznie chodzi tu o jedną chwilę: to jakby zażyć dozę soli angielskiej. Prócz tego te dzieci natury mają krew czystą i zdrową: cóż mi może zaszkodzić ich ślina? A sama ślina czyż nie jest ona złożona z wody, soli alkalicznych i iptaliny? Czy te pierwiastki nie znajdują się w każdej prawie potrawie? W dodatku nektar ten poda mi je w innych zupełnie kombinacjach; czyż nie wszystkie pierwiastki natury podlegają kombinacjom? A więc *statutum est:* wypiję czarę, pić będę zdrowie tych półbogów puszczy, potem zażądam powtórki i ponowny toast wniosę na pomyślność gospodarza.

Tak filozofował Ojciec Kiwaro i w duchu gotował się do niedalekiej już chwili stanowczej. Elaborat był na ukończeniu. Joasia wypluła starannie ostatni kęs *juki*, nalała czyściuteńkiej wody do przejrzystego naczynia, włożyła pewną ilość zżutej *juki*, zamieszała wszystko malowaną na czarno aż po łokcie ręką, zamieszała tak, że aż szumy wyszły na wierzch i wreszcie zadowolona poniosła swoją pracę przed biesiadników. Ci ustawili się rzędem, widocznie według znaczenia politycznego. Wesołym pomrukiem powitali babinę, jak to chyba mogli czynić mityczni bohaterowie Grecji, gdy przybywał z Olimpu zwiastun woli bogów. Oczy wszystkich zwrócone były na misjonarza, który miał dać początek libacji.

— *Ihamáncim łartá*, pij *cicię*, wołał *Nantipa;* dobrze ci to zrobi po długiej przechadzce: doskonale ona rozgrzewa krew.

— W twoje ręce, Nantipo, odrzekł poważnie zagadniony — piję zdrowie twoje, twej żony i całej rodziny.

Wybuchł ogólny śmiech, podczas którego misjonarz rozprawiał się na prędce z kwaśnemi minami, o które go toast przyprawił.

— Wyborna, niezrównana, boska jest twoja *ihamanci*, deklamował potem Ojciec Kiwaro, krzycząc głośno i wymawiając z naciskiem każde słówko, aby czemprędzej przełknąć resztki nektaru i oprzeć się obrzydzeniu.

Śmiechy rosły, jak grzyby po deszczu, a garniec krążył z rąk do rąk. Kiwarosowie zanurzali w nim grube wargi, a Joasia od czasu

(1) Ulubiony napój Kiwarosów.

do czasu zapuszczała weń swą czarną rękę, odsuwała gęsty osad i mieszała, aż szumiało. Po pewnym czasie garniec wrócił do rąk misjonarza, który zdobywszy się na niezwykłą odwagę, krzyknął z humorem:

— A więc jeszcze raz! Twoja *cicia*, *Nantipo*, jest tak dobra, że nie dość mi jej raz się napić. I pił na umor, aż ujrzał żółty osad na dnie. — Teraz, pomyślał sobie, nikt mnie chyba nie



Meliapor (Indje) - Żródło św. Tomasza.

posądzi o brak odwagi i delikatność europejską. W samej rzeczy napój ten, gdyby nieznana była jego fabrykacja, zasługiwałby dla swej jakości i smaku na wszystkie względy ludzi spragnionych: jest świeży, silny, podniecający. Ile innych napojów gorszych, podrobionych, fałszowanych, brudnych, trujących, połykają ucywilizowani tylko dlatego, że płyną z butelek opatrzonych korkiem firmowym i kolorową etykietą!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu kwietniu.

Pomocnicy Salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu kwietniu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

a) W dniu, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

b) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

c) » » w dniu, w którym odprawią t. z. ćwiczenie dobrej śmierci.

d) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

e) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekolekcje.

f) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty stacyjne.*

W dni oktawy Wielkanocy aż do niedzieli *in Albis* włącznie, w święto św. Marka Ewangielisty (25. kwietnia) i w trzy dni krzyżowe: Odpust 30 lat i tyluż kwadragen.

C. — *Odpusty Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

d) Ilekroć z sercem conajmniej skruszonem wymówią akt strzelisty: *Marjo, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami: odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

D. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).

Misjonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XV.

Nowicjusze. — Ku północy.

Nie lepiej działo się w Sangolquì. I tam sprawdziły się słowa Pisma św.: *Percutiam pastorem et dispergentur oves gregis.*

Jakkolwiek napełnieni najlepszą chęcią, nie mogli sobie biedni nowicjusze dać rady bez starszej osoby, którąby nad nimi objęła kierownictwo. Z początku nie brakło dowodów wielkiej solidarności. Obiecywali sobie za nic w świecie nie opuszczać ukochanego przybytku cnoty i życia zakonnego, i bronić sztandaru salezjańskiego mężnie, do upadłego.

— Choćby nam przyszło zginąć od kul naszych prześladowców, choćby nam bagnetami piersi rozdzierano i przeciw naszemu zaciszu wytaczano armaty, nie pójdziemy w rozsypkę. Wśród męczarni, krwi, ran, okrutnych bolów, pozostaniemy wierni naszym wzniosłym ideałom — zawsze, zawsze!

Zapał był ogromny, fantazja wyzywająca. Lecz minął dzień i drugi, a żołnierzy z najeżonymi bagnetami nie było widać; przyszło zaś dwóch innych nieprzyjaciół o wiele groźniejszych dla młodych, idealnych nowicjuszów: głód i matki. Pierwszemu opierano się jako tako, dopóki w małej śpiżarence było trochę zapasów; ale gdy racje poczęły z dnia na dzień w sposób wprost zastraszający maleć i zamiast zwykłej porcji, musiano poprzestać na suchym kawałku chleba, wtedy niejednemu robiło się ciężko i łzy cisły się do oczu.

A gdy się tak z płaczem pasują i przygryzają wargi, przychodzi mama, pyta się o syna, rzuca mu się na szyję, przyciska do serca, wpatruje się w wychudłe liczka, w zapadłe i łzawe oczy i woła:

— Ach! mój skarbie jedyny! jakeś mi ty zmizerniał! Biedaczysko! Chodź z matką do domu, chodź! Już siostry i bracia na ciebie czekają. Nie płacz! Skoro tylko przełożeni wrócą, puścimy cię napowrót do nowicjatu. Cobyś tu teraz robił?

Jak się oprzeć głosowi macierzyńskiemu nastrojonemu na tak rzewną nutę, gdy nie widać innej drogi wyjścia? Tak więc niejeden otarłszy łzy, zapakował sukienkę do tłumoczka na lepsze czasy i w towarzystwie zwycięskiej matki powędrował do ojczystych progów. Kto rodziców nie miał, poszedł do krewnych lub do blizkiego klasztoru OO. Dominikanów. — Nowicjat w Sangolquì opustoszał na czas długi.

***

A nasi wygnańcy? Po owej burzliwej nocy prowadzono ich stale ku północy. Po całodziennej uciążliwej jeździe przybyli do Ottavolo, rodzinnej wioski kleryka Egas, jednego z wygnańców. Przeznaczono im na mieszkanie salę posiedzeń gminnych w domu syndyka. Tam też rozlokowawszy się, jak było można, na ławach i stołkach miejscowego areopagu, zabierali się do spożycia resztek szczupłych zapasów żywności, gdy wtem przed drzwiami powstaje jakiś krzyk i hałas, wśród którego słychać groźne wezwanie żołnierza, pilnującego wygnańców:

— Nazad! Nie wolno wchodzić.

— Ach! Pozwólcie mi zobaczyć syna. Pamiętajcie, że wy także macie matki. Może i one potrzebują cudzego miłosierdzia...

Tak krzyczała rozpaczliwym głosem niewiasta, w której rozpoznaliśmy matkę kleryka Egas. Powstało zbiegowisko; ludność poczęła szemrać i odgrażać się, wobec czego żołnierze musieli matkę wpuścić do sali, do syna. Jakże wzruszające było ich powitanie! Przez długi czas płakała na piersiach wygnańca za wiarę i jako matka Machabeuszów zaklinało go, aby nie miał względu na nią, aby wytrwał do końca. Uspokoiwszy się nieco, pobiegła do domu i z innemi niewiastami przygotowała misjonarzom na prędce jaki taki posiłek.

Tego samego wieczora przyszli z wizytą Bracia szkół chrześcijańskich, którzy w tej miejscowości utrzymują szkółkę, a nazajutrz Siostry św. Wincentego á Paulo za pozwoleniem syndyka przekształciły naszą salę na prowizoryczną kapliczkę. Po odprawieniu Mszy św. dowódca oddziału podał księżom do wiadomości rozkaz nowego rządu, na mocy którego miał ich odstawić do granic Kolumbji. Ponieważ obawiano się rozruchów, rozkaz brzmiał, że podróż nie powinna się odbywać utartą drogą przez *Ibarrę* i *Tulcan*, ale na przełaj niezdrowej i strasznej puszczy *Paylon.*

(*C. d. n.*)

**

MISJE SALEZJAŃSKIE

Kto pójdzie?

Kto pójdzie nauczać wszystkie narody i chrzcić je w imię Ojca i Syna i Ducha Św.? Któż opuści wszystko i na wzór Apostołów, ogołocony ze wszystkiego, pójdzie spełnić najgorętsze pragnienie Serca Jezusowego? Papież, biskupi, kapłani uczynić tego nie mogą, bo tych już Duch św. ustanowił pasterzami, aby rządzili Kościołem Bożym. Słowa Idźcie były wyrzeczone do całego Kościoła, skupionego wówczas w św. Piotrze, apostołach i uczniach Chrystusowych; a ponieważ słowa Jezusa nie przemijają, więc i teraz odnoszą się do wszystkich wiernych. Z pomiędzy nich wybiera sobie Chrystus, jak ongi, swoich apostołów. Wiernym pozostaje tylko stać się godnymi łaski powołania, a uczuwszy ją w sobie, bezzwłocznie i odważnie iść za jej natchnieniem. Wszyscy przeto powinniśmy wziąć sobie do serca słowa Zbawiciela i wyrobić w sobie tyle ducha poświęcenia, iżbyśmy się nie zawahali ani na chwilę, gdybyśmy uczuli wewnętrzny głos, wzywający nas do wyższych rzeczy, do pracy w winnicy Pańskiej.

CHINY.

Dziewiętnastu młodych Chińczyków przystępuje do I. Komunji św. — Wycieczka na wyspę Taipę.

(List Ks. Alojzego Versiglia).

Makao, 2. listopada 1906.

Czcigodny i Najukochańszy
Księże Rua!

Jestem przekonany, Najukochańszy Ojcze, iż po tak długiem milczeniu będzie Ci pożądaną jakakolwiek wiadomość o tej misji. Wiadomością zaś najpilniejszą, jakiej Ci pragnę udzielić, jest ta, iż nasi malcy Chińczykowie są prawdziwymi poczciwcami i odpowiadają całkowicie naszym zabiegom i pokładanym w nich nadziejom.

Idąc w ślad drogiego Ojca naszego ks. Bosko, który chciał, aby podstawą naszej pedagogji była pobożność i bojaźń boża, postaraliśmy się dla naszych wychowanków o możebność odprawienia krótkich rekolekcji, do czego z wielką miłością i gorliwością zaofiarował się czcigodny O. Antoni M. Roliz T. J., znany już Kochanemu Ojcu z swej życzliwości dla biednych synów ks. Bosko. Myśmy go już wpisali w album wybitnych dobrodziejów tej odległej fundacji.

Krótkie te rekolekcje zostały zakończone uroczystym obrzędem pierwszej Komunji św., do której przystąpiło 19 wychowanków.

Nie omieszkaliśmy polecić temu szczęśliwemu gronu, aby nie zapomnieli modlić się o nawrócenie tylu ich braci Chińczyków, oraz za swych dobrodziejów.

O całej tej uroczystości pisał Miesięcznik Dyecezjalny co następuje:

« W kaplicy ochronki Niepokalanego Po-
« częcia (tak bowiem podobało się ks. bisku-
« powi nazwać nasz zakład, który po wsze
« czasy pozostanie pomnikiem pięćdziesięciole-
» tniego jubileuszu ogłoszenia dogmatu Niepo-
« kalanego Poczęcia) odprawiono w niedzielę
« 14. października uroczystość pierwszej Ko-
« munji św. niektórych wychowanków.

« Ksiądz biskup udał się o godź. 8. do
« ochronki, aby odprawić mszę św., podczas
« której dziewiętnastu alumnów, poprzednio
« wyuczonych i przygotowanych do tego wa-
« żnego aktu, przystąpiło po raz pierwszy do
« stołu Pańskiego. Wiel. O. Roliz, który ich
« do tego przysposobił trzechdniowemi reko-

« lekcjami, miał też przed i po Komunji św. « do nich wzruszającą egzortę. Ujmującem było » nabożeństwo, z jakiem tych 19 malców chiń- « skich zbliżało się do ołtarza.

« Odśpiewali oni podczas mszy św. kilka « nabożnych pieśni, w czem pokazali swe zdol- « ności muzykalne, oraz jakie postępy czynią « pod kierownictwem swych nauczycieli.

« Nazajutrz zaprowadzono wychowanków na « wycieczkę aż na wyspę Taipę, gdzie swo- « bodnie i wesoło spędzili dzień « cały.

« W pięknej kaplicy tam- « tejszej misji wysłuchali mszy « św. i byli obecnymi przy udzie- « leniu sakramentu chrztu św. « dwom dorosłym Chińczykom; « następnie zrobili wycieczkę na « poblizką górę, skąd nacieszyli « się widokiem rozpościerają- « cego się u ich stóp wspaniałego « krajobrazu. Wieczorem po « błogosławieństwie z Przenaj- « świętszem, wrócili wesoło do « miasta, prowadząc z sobą kilku « nowych towarzyszów, pomię- « dzy którymi byli również owi « dwaj, co rano otrzymali byli « chrzest św.; przez to liczba « naszych wychowanków doszła « do pięćdziesięciu.

« Ludność dziwowała się, wi- « dząc młodych Chińczyków tak nagle zmie- « nionych, potulnych i dobrze wychowanych.

« Oby Pan Bóg raczył pobłogosławić temu « tak pięknie zapowiadającemu się dziełu.

Tyle Miesięcznik Dyecezjalny. Od siebie dodam tylko, iż tak pierwszy, jak i drugi dzień tej uroczystości był dla nas pełen najdroższych wrażeń. Na małej wysepce Taipie zwiedziliśmy zakład Sióstr Kanosjańskich, ubożuchny domek, który ubóstwem swojem podnosi jeszcze bardziej zasługi tych, co go zamieszkują. Było naszym obowiązkiem odwiedzić je, bo wielu z naszych wychowanków, jako należących do stowarzyszenia Dzieciątka Jezus, wychowało się u owych zakonnic. Różne osobistości, co się przypatrywały z blizka naszym wychowankom, nie szczędziły nam słów pochwały i zachęty.

Oby nam P. Bóg dopomógł odpowiedzieć tym powszechnym oczekiwaniom! W tym celu, najukochańszy nasz Ojcze, módl się często za nas, a mianowicie za

Twego najprzywiązańszego w Chr.

Ks. Alojzego Versiglia.





Grota w górze św. Tomasza.

INDJE.

Pomniki po Apostole św. Tomaszu.

(List Ks. Jerzego Tomatisa).

S. Thomé de Meliapor, 8 listopada 1906 r.

Czcigodny i najukochańszy Ojcze!

Od kilku dni bawię tutaj w Meliaporze, goszcząc u Najprzew. ks. biskupa Teutoniusza de Castro, naszego najukochańszego Pasterza, który nas zawsze podejmuje z najtkliwszą ojcowską dobrocią.

Tymi dniami miałem sposobność zwiedzić niektóre miejsca i pomniki wskazujące na przejście i pobyt św. Tomasza apostoła (1)

(1) Zdaniem uczonych, św. Tomasz byłby nie tylko pierwszym Apostołem Etjopji, Indji i Chin, ale także i ludów amerykańskich. Już przed dwoma laty Mgr. Pas-

w tych okolicach, i pospieszam dać o nich drogiemu Ojcu jaką wiadomość wraz z niektóremi ilustracjami fotograficznemi.

Na pierwszem miejscu zwiedziłem Małą i Wielką Górę św. Tomasza.

Mała Góra nie ma więcej nad pięćdziesiąt m. wysokości, jest zewsząd otoczona urwiskami, z wyjątkiem strony południowej, po której szerokie, duże gradusy prowadzą do kościoła znajdującego się na jej szczycie. Zbudowali ten kościół przed kilku wiekami Portugalczycy, pod wezwaniem Matki Boskiej Uzdrowienia (Della Buona Salute).



Krzyż, przed którym został umęczony św. Tomasz.

Za głównym ołtarzem otwiera się w żywym kamieniu wyłom, przez który z wielką biedą można się przedostać do nizkiej i ciasnej groty. Jest ona celem licznych pielgrzymek. Obraz św. Tomasza góruje nad ołtarzykiem przystającym do zimnego głazu. Podanie niesie, iż gdy św. Tomasz przyszedł głosić ewangielję św. w te okolice, założył swe mieszkanie w pobliżu tego miejsca i często wstępował na Małą Górę, by się w wspomnianej jaskini pomodlić, zwłaszcza wtenczas, gdy zawziętość bałwochwalców czyhała na jego życie. Po prawej stronie ołtarza widać coś jakby okienko, przez które wpadają słabe promienie światła. Miało się ono otworzyć w chwili, gdy św. Tomasz wytropiony w grocie przez pogan, miał już odebrać cios śmiertelny od pewnego bramina uzbrojonego dzidą; lecz właśnie przez owo okienko P. Bóg otworzył mu drogę, iż mógł umknąć przed niechybną śmiercią.

Pokazują tu również źródło zwane św. Tomasza, które na słowo tego apostoła, niby drugiego Mojżesza, wytrysnęło z twardej opoki, by napoić spragnione rzesze słuchające kazania śród skwarnych dni letnich w czasie powszechnej posuchy. Nadto miało się zapomocą tej wody dokonać wiele cudownych uzdrowień. Źródło bije dotąd i nie wysycha nawet w czasie nadzwyczajnej suszy.

Ze cztery klm. za Małą, jest Wielka Góra, zwana po prostu górą św. Tomasza.

Jest to pagórek nieco wyższy od pierwszego. Dochodzi się do jego wierzchołka po stu gradusach. Tam wznosi się kościółek p. w. Oczekiwania Najśw. Marji Panny, zbudowany również przez Portugalczyków. Niema koło niego zabudowań krom jedynego domu Franciszkanek, zwanych tu pospolicie misjonarkami Marji. Tu mają tylko ochronkę i crèche (czytaj: kresz); główny bowiem ich klasztor znajduje się w Meliapor, gdzie spełniają wiele dobrego.

Wdrapawszy się na szczyt góry, furtjanka otwiera drzwi kościoła i pokazuje złożone w nim skarby. W ścianie, o którą opiera się ołtarz, widać wykuty w żywym kamieniu krucyfiks. Podanie mówi, że i tutaj uciekał się często św. Tomasz, aby u stóp krucyfiksu

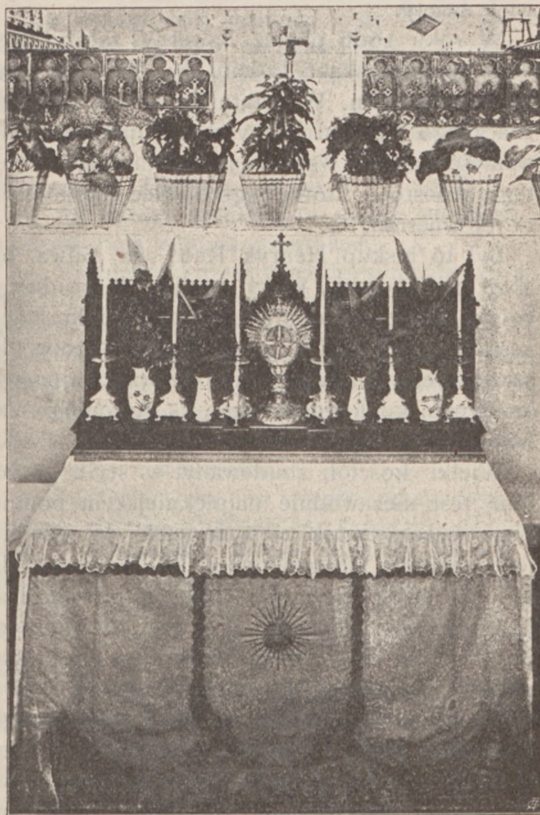
---

salacqua, członek instytutu historyczno-geograficznego w S. Paulo w Brazylji, napisał piękną monografję o podróży św. Tomasza do Ameryki, opierając swe wywody na poważnych argumentach.

szukać ulgi w gorącej modlitwie, i że tu ugodzony śmiertelnie dzidą przez pewnego bramina, dokończył żywota. Jest to stałą i powszechną tradycją w Indjach. Do tego to miejsca płynęły i płyną nieustannie pielgrzymki ze wszystkich stron Indji; tu upadli na twarz Portugalczycy, gdy po długiej niebezpiecznej żegludze przybili szczęśliwie do brzegu; tu z dalekiego Malebaru chrześcijanie, co po dziś dzień chcą, by ich wciąż zwano chrześcijanami św. Tomasza, odbywali długie, bo aż 25 dni trwające pielgrzymki, aby uczcić te święte miejsca (1).

Jest podanie o wielu cudach, które się spełniły koło tego krzyża. Więcej niż jeden raz widziano go otoczonego białym obłokiem i wydawającego obfity pot. Żyje jeszcze w pamięci ludu następne zdarzenie, zaszłe około sto lat temu. Był to dzień świąteczny Wyczekiwania Najśw. Marji Panny. Kościół był przepełniony, gdy nagle śród ludności wszczęły się zrazu pomieszane głosy, a potem ogólny krzyk: cud! cud! Znajdujący się przy ołtarzu misjonarz skonstatował cudowność zdarzenia: Krzyż, będący z szorstkiego głazu, koloru prawie ciemnego, przedstawiał zrazu kolor czerwonawy, następnie ciemny, potem olśniewająco biały, poźniej pokrył się mgłą a nakoniec wypuścił z siebie pot tak obfity, iż krople spadały aż na ołtarz. Idąc za prośbą niektórych osób, misjonarz począł chusteczkami i szmatkami ocierać krucyfiks i w ten sposób przemoczył kilka chusteczek. A trzeba wiedzieć, iż krzyż jest wyrzeźbiony w żywym kamieniu, stanowiącym jedną ze ścian kaplicy; nie było też podobieństwem dostać wody w owem miejscu, gdzie w każdej porze roku panują wielkie upały, a kamień rozżarza się pod ognistymi promieniami słońca. Wielu Anglików protestantów nie mogąc zaprzeczyć faktu, przeglądnęli ołtarz, weszli na kościół i po drobiazgowych szperaniach widzieli się zmuszeni oświadczyć, iż to musiało być zdarzenie nadprzyrodzone, bo nie znaleźli nic, przez coby fakt powyższy dał się wytłumaczyć w sposób naturalny (1).

Miejscem zaś czczonem bardziej niż którebądź inne, jest grób, w którym przez więcej niż dwa wieki spoczywały śmiertelne szczątki Świętego Apostoła, zanim zostały przeniesione do Edessy a następnie do Ortony w Abrucach (ziemi włoskiej). Grobowiec ten znajduje się około 300 m. od morza. Uczniowie św. Tomasza zbudowali na grobowcu kaplicę, którą nazwali



Ołtarz na grobie św. Tomasza.

(1) Że św. Tomasz umarł w Indjach, jest rzeczą przyjętą nawet przez martyrologium rzymskie. Może ktoś zauważy, iż martyrologium powiada: » w Kalaminie w Indjach « a jak zaznacza uczony Jezuita Kircher, w całych Indjach nie zna się miejscowości tej nazwy. Otóż należy przyjąć, iż miejscem męczeństwa św. Tomasza jest właśnie Meliapor, którego pełna nazwa jest od wieków S. Thome de Meliapor (Św. Tomasz z Meliaporu), zaczem nazwa Kalaminy, zapisana w martyrologium, nie może być czem innem, jeno skróceniem i zlaniem się słów » Kalur mina «, które w języku malabarskim znaczą: na kamieniu, oznaczając w ten sposób okoliczność śmierci Świętego, który został umęczony na kamieniu przed wspomnianym krucyfiksem.

Zresztą nie potrzebujemy przemilczeć i tego, iż historyk Binz wspomina o pewnym misjonarzu, zdaniem którego Kalamina byłaby pierwotną nazwą Meliaporu.

(1) Także i O. Kircher mówi o cudownych zdarzeniach co do pewnego krzyża przyznawanego św. Tomaszowi. Pomiędzy innemi dowiedział się o prastarem podaniu, według którego było przepowiednią św. Tomasza, iż gdy morze dojdzie swemi falami do stóp tego krzyża, to P. Bóg pośle tam ludzi białych, aby głosili tę samą naukę, którą on głosił. A faktem jest, zauważa O. Kircher, iż gdy Portugalczycy ruszyli na podbicie Koromandlu, ocean już o tyle posunął się był w ląd, iż w tem miejscu uderzał rzeczywiście swojemi falami o stopy krzyża.

domem św. Tomasza. Poźniej kaplica zamienioną została na obszerną świątynię, do której potem przydany został konwent. Gdy Marek Polo (podróżnik włoski) przybył po raz pierwszy w te okolice, zastał tu już zwyczaj pielgrzymowania do grobu św. Tomasza, co czynili nie tylko chrześcijanie, ale nawet i niewierni, którzy żywili wielką cześć dla człowieka tam pogrzebanego, zowiąc go Awarian czyli człowiek święty.

W roku 1606 papież Paweł V. założył dyecezję meliaporską a kościół św. Tomasza stał się katedralnym. W ostatnich czasach wskutek znacznego wzrostu liczby chrześcijan, musiano wznieść katedrę wspanialszą, godniejszą Świętego Apostoła, którego grobowiec znajduje się w jej wnętrzu.

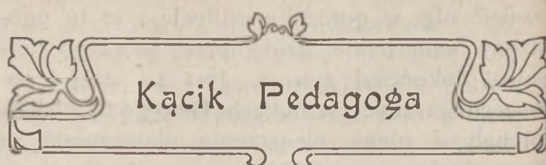
Był to biskup Henryk Reed da Silwa, biskup meliaporski, który podjął się trudnego dzieła, które po długich mozołach i kosztach zostało dziesięć lat temu doprowadzone do szczęśliwego końca i poświęcone przez najprzew. ks. arcybiskupa goańskiego, ks. Antoniego Valente, obecnie patryarchę indyjskiego.

Wielki kościół, zbudowany w stylu gotyckim, jest niezawodnie najpiękniejszym pomnikiem chrześcijańskim w Indjach. W środku jego znajduje się grobowiec św. Tomasza, do którego się zstępuje po kilku stopniach. Jest tam obecnie i ołtarzyk. Pod tym to ołtarzem znajduje się grób, który przez dwa wieki zamykał ciało Apostoła. Aż do ostatnich czasów ołtarz i kruchtę zdobiły rzeźby z miejscowego kamienia; atoli Najprzew. biskup Mgr. Teotoniusz de Castro, obecny biskup meliaporski, z okazji trzechsetnej roczniczy założenia dyecezji, którą obchodzono na początku tego roku, ozdobił kryptę i przebudował ołtarz marmurem sprowadzonym z Rzymu, otaczając w ten sposób sławność miejsca urokiem sztuki i wspaniałomyślnej pobożności.

Najukochańszy Ojcze! oto wiadomości, których chciałem Ci udzielić co do pobytu św. Tomasza w Indjach. Oby pierwszy ten Misjonarz tych ziem wyprosił nam odwagę i gorliwość potrzebną do spełnienia jakiego dobrego dzieła. W tej myśli pobłogosław nam i Ty, najukochańszy Ojcze, a z nami pobłogosław także wszystkich tutejszych wychowanków i nowych Pomocników.

Najprzywiązańszy w S. J.

Ks. Jerzy Tomatis.



Jeszcze o kształceniu woli.

Na potwierdzenie tego, co w poprzednim numerze pisaliśmy o roli, jaką we wychowaniu woli dzieci odgrywają nagrody, przytoczymy zdanie kilku wybitnych wychowawców, którzy jakkolwiek mylnie wprost pomijają religię we wychowaniu, albo bardzo zmniejszają jej wpływy, kładą jednakże wielki nacisk na to, aby dzieci od najmłodszych lat przyzwyczajano do zaparcia się i umartwienia.

,,Zasadniczy warunek wszelkiej cnoty i doskonałości, pisze Locke, polega na wewnętrznej sile, którą sobie odmawiamy zaspokojenia pragnień, jeśli ich rozum nie uznaje za słuszne. Tę siłę należy wytwarzać i potęgować przez wychowanie: rychłe jej budzenie prowadzi do łatwości i wprawy w jej zastosowaniu. Gdyby mi dano posłuch, radziłbym już od kolebki przyzwyczajać dzieci do tego, żeby się nie upierały przy swych zachciankach i znosiły spokojnie ich odrzucenie. Na pierwszem miejscu powinny się przekonać o tem, że otrzymały coś nie dlatego, że im się to podoba, lecz ponieważ my uważaliśmy to za pożyteczne dla nich. Jeśli im się daje to, co odpowiada ich potrzebom, a nie to, o co one krzyczą, wtenczas nauczą się wielu rzeczy wyrzekać i nie będą się siliły, aby krzykiem i uporem nad nami panować.

,,Nagrody zaś nie powinny im być nigdy dawane jako zapłata za ten lub ów uczynek."

Jakób Sully, komentując to ostatnie zdanie w swem dziele *Psychologja Wychowawcza,* pisze: ,,Wartość wychowawcza nagród zależy od tego. iżby one były dawane za dłuższy i stały wysiłek woli w pewnym kierunku pożądanym, n. p. za pilność w szkole. Zależy ona także od tego, żeby nagroda była udzielana jako dowód uznania pewnego szczególnego lub wyjątkowego wysiłku woli czyli *cnoty*, jako odmiennej od samego spełnienia widocznych wymagań obowiązku. Dobry jej skutek przypuszcza następnie, że nagrodzony nie liczył na nią z góry, do niej wyraźnie nie dążył. Im bardziej niespodziewana będzie nagroda, tem silniej wyrazi uznanie i zadowolenie rodziców lub nauczyciela, a zarazem tem większy będzie jej wpływ moralny.

,,Równie łatwo dojść do nadmiaru w nagradzaniu dzieci, jak w ich karaniu, a pod pewnym względem skutki nadmiaru nagród są gorsze, niż nadmiaru kar. Podsuwa się bowiem tym sposobem

myśl, że nagroda jest rzeczą, do której dziecko ma prawo, czyli wytwarza się przyzwyczajenie dążenia do niej. Żywe pragnienie przyjemności w dzieciach sprawia, jak wykazał Waitz i inni, że zbyt częste i nietrafne użycie nagród staje się szczególniej szkodliwem.

,,Nagroda i kara działają wychowawczo na wolę, dostarczając dziecku tymczasowej pomocy do zamiłowania obowiązku i stałego pełnienia dobra dla niego samego. Są to środki, które podobnie jak wizyty dobrego lekarza, zmierzają do tego, aby stać się zbytecznemi. Użycie ich powinno dążyć do rozwinięcia w dziecku poczucia tego, co jest słuszne, tak iżby ono cierpiało coraz więcej z powodu nagany, ponieważ czuje, iż jest ona słuszna; a z drugiej strony otrzymując pochwałę, doświadczało coraz bardziej tego, co Herbart zowie radością z uznania zasłużonego.''

ROZMAITOŚCI

Jak Ks. Bosko oddziaływał na młodzież.

Pewnego dnia przyszła do ks. Bosko biedna kobiecina, prowadząca dziesięcioletniego chłopca.

— Przywiodłam syna, mówi, ale wie Jegomość, jest to kawał nicponia: jest bardzo krnąbrny i zepsuty. Spodziewam się, że pod opieką czcigodnego Ojca nabierze rozsądku.

— Chodź tu, mały, odezwał się ks. Bosko. Jak się nazywasz?

Chłopczyk skrzywił się i cofnął za matkę, która silnie trzymała go za rękę, aby się jej nie wymknął.

— Jest mu na imię Antoś, a ojcu nieboszczykowi było Jakób. Ojca słuchał i bał się, ale ja sobie rady dać z nim nie mogę: robi, co chce. Polecam go Ojcu... i otarła sobie łzy fartuchem.

— Zdajcie się na mnie. Antoś zostanie u mnie.

Chłopiec opierał się, płakał, a rękawem ocierał łzy spływające mu po pucołowatych policzkach.

— Uspokój się, Antosiu, nie płacz! Słuchaj, a gdy wrócisz do domu, sprawię ci piękną zabawkę.

— Nie! nie! odbąkiwał Antoś, nie chcę zostać w zakładzie, nie chcę się uczyć, nie, nie!

— Nie? rzekł spokojnie ks. Bosko. — Nie? A wiesz ty, kto pierwszy wyrzekł to słowo: *nie!*

To pytanie, wypowiedziane poważnie i dobitnie, zmieszało małego swawolnika, który stał nieruchomy, krzywiąc usta i wytrzeszczając na ks. Bosko dwoje wielkich, zapłakanych oczu.

— Wiesz, kto pierwszy powiedział: *nie!* Zły duch w niebie. Lecz P. Bóg ukarał go za to piekłem. Chcesz się z nim dostać do ognia?

— Nie chcę! odrzekł prędko chłopiec.

— A więc nie płacz i słuchaj. Spojrzyj z tego okna na to wielkie podwórze; patrz, ilu chłopców się tam bawi. Są nawet mniejsi od ciebie, spokojni i zadowoleni...

Antoś ucałował matkę i poszedł z ks. Bosko na zabawę.

* * *

— Chwała Bogu! Jestem szczęśliwy. Niech to dziecko pozostanie tu jeszcze lat kilka, aby wyszło na poczciwego człowieka.

Tak kończył swą rozmowę z ks. Bosko ojciec jednego z lepszych wychowanków. U samej furty zwrócił się jeszcze do kapłana z tem pytaniem:

— A jakże się też tu prowadzi Antoś...?

— Dobrze, bardzo dobrze! Jestem z niego zadowolony. Czy pan go zna?

— Był moim uczniem w szkole wiejskiej i niemało mnie zdrowia kosztował.

— Nie pierwszy to raz mam do czynienia z takim chłopcem. Miłośnik młodzieży Lacordaire (*) mawiał: *Jak słodycz przynęca robactwo, tak zbytnia łagodność, miękkość i pobłażliwość matek psuje dzieci.*'' Antoś był zepsuty słabością matki: Nie słuchał, ale rozkazywał. Zrozumiałem, że muszę się do niego brać stanowczo, ale z wielką łagodnością i cierpliwością.

— Zadziwiającym jest wynik pracy wychowawczej księdza Dobrodzieja. Znam tylu nauczycieli i pedagogów, którzy pomimo energji i łagodności, nie dochodzą do takich wyników.

— To zależeć może od różnych okoliczności. Ja robię użytek jeszcze z innego skutecznego sposobu.

— Czy można spytać, co to za sposób? Jestem nauczycielem i ojcem; mogłoby mi posłużyć

— Każdego rana po Mszy św. odmawiam jedną modlitewkę za wszystkich wychowanków a drugą za największych łotrzyków.

— Czy to naprawdę skuteczne?

— Niewątpliwie. P. Bóg bardzo kocha dzieci! Modlitwa za dzieci wydaje w rodzinach synów posłusznych i uległych, a w społeczeństwie dobrych i sumiennych obywateli.

— Bardzo dziękuję za naukę. Przyda mi się. Mogę i innym poradzić...

Drożyną wiodącą przez zielone pagórki i pola, wracał do cichej wioski poczciwy nauczyciel. Na piękności krajobrazu nie zwracał uwagi. Szedł zamyślony, rozbierając cztery przymioty, zapomocą których wychowawca chrześcijański może wpłynąć na duszę każdego dziecka: *stanowczość*, *łagodność*, *cierpliwość* i *modlitwa*.

(Z szarej księgi Makarego *Nowiny* wypisał *Przyjacielski).*

(*) Mów: Lakordèr.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

OŚWIĘCIM. — Jakże, kumie, pojedziemy tego roku do księży Salezjanów na uroczystość św. Franciszka Salezego?

— Eee! zaśby mi się tam chciało włóczyć się po świecie przy takiej śnieżycy. Mógłbym jeszcze gdzie w śniegu ugrząść lub szkapy potopić. Pojedziemy na Matkę Boską lub, jeżeli da P. Bóg doczekać, ną św. Jacka, mruknął mój sąsiad.

Nie dałem mu jednak za wygraną i tylem mu nagadał, że przyrzekł pojechać. Jakoż nazajutrz, gdym wdziewał kożuch i macał po kieszeniach, czym czasem kieski nie zapomniał, bo bez tego na odpust niema po co jechać, słyszę silne dzwonienie przed sienią. Mój poczciwy sąsiad zajechał po mnie. Siadamy więc na lekkie sanki i hajże! do księży Salezjanów.

Dniało. Saneczki posuwały się po śniegu, a hyże koniki jakby nie dotykały białego całunu, pokrywającego martwą powierzchnię ziemi. Gdyśmy jednak minęli nizkie i ciche domki wieśniacze i wyjechali na otwarte pole, poczuliśmy uściski i całusy macochy zimy, zimi mroźnej, polskiej. Konie, widocznie nie bardzo ucieszone taką poranną przejażdżką, wyrzucały nozdrzami kłęby białej pary i zasypywały nas bryłkami śniegu, który im z kopyt odpadywał. Wokoło biało i cicho.

W dali zarysowały się wieża kościoła parafialnego i kościół salezjański. Wiatr złagodniał, konie poczęły zwalniać, jakby wietrzyły odwilż. Ale mój sąsiad nie żałował bata i wkrótce stanęliśmy przed kościołem Najśw. Wspomożycielki. Wyskoczyłem i pobiegłem do ołtarza, gdzie pragnąłem złożyć swoje bóle i różne dolegliwości. Zegar na magistracie wskazywał 6 1/2.

Wychowankowie rozpoczęli właśnie swe modlitwy poranne. Przyłączyłem się do nich i jakoś słodko i błogo zrobiło mi się na sercu. Najbardziej wzruszyła mnie chwila Komunji św. Nic tu wymuszonego nie widać. Chłopcy wychodzą z ławek dowolnie, nikt tego nie kontroluje, a ja sam pomimo bacznej uwagi w końcu nie wiedziałem, kto przystąpił do Komunji św. a kto nie. Może nie zbłądzę, twierdząc, że wszyscy byli.

Wyspowiadać się w odpust, to zwyczaj dobry i chwalebny, ale wyspowiadać się prędko, to kwestja silnych łokci. Na szczęście w kościele Salezjanów jest księży niemało, a powtóre mrugnąłem na sąsiada, abyśmy się solidarnie do rzeczy wzięli. I tak trochę dlatego, że jeszcze ze stacji nie nadeszły zbite drużyny braci Górnoślązaków, a po części dzięki chłopskiej taktyce, dostaliśmy się dość rychło przed kratki konfesjonału, a na Mszy św. śpiewanej, odprawionej o godz. 8mej za członków Związku Mszalnego, przystąpiliśmy gromadnie do Stołu Pańskiego. Po to się na odpust jedzie.

Msza św. się kończy, a na ambonie pojawia ks. Jan Świerc, dyrektor zakładu salezjańskiego, aby mieć doroczną konferencję do Pomocników. W treściwych słowach narysował obraz pracy salezjańskiej i skutki zakładów ks. Bosko. We Włoszech, Francji, Hiszpanji, gdzie te zakłady najpierw powstały, wielu wychowanków zajmuje teraz wysokie stanowiska społeczne i są chlubą rodziny i kraju. Jest nadzieja, że i nasz kraj, da Bóg, doczeka się podobnych rezultatów pracy Salezjanów i ofiarności Pomocników.

O godzinie 10 1/2 zadzwoniono na sumę. Celebrował ks. proboszcz z blizkiej Włosienicy, a w kazaniu przystępnem i dobrze opracowanem ks. Leon Kaszyca odmalował św. Francisza Salezego jako wzór miłości Bożej i bliźniego. Poważne, o męskim charakterze melodje liturgiczne zrównoważone były przez precyzyjne interludja orkiestry i czterogłosowe śpiewy kościelne.

Po sumie wychodzę z kościoła i oglądam się za sąsiadem i jego sankami. Znajduję go w rozmównicy, gdzie poszedł złożyć swój datek na zakład i na kościół. Zaczepia mnie po swojemu i pyta, czym czytał, co tam na bramie ogłoszono, bo on niedowidzi. Zatrzymuję się i czytam: „*W niedzielę odegrają wychowankowie zakładu dramat w czterech aktach p. t.* Perła ukryta, *napisany przez ks. kardynała Wisemana. Początek o 4 1/2. Pierwsze miejsce 2 korony.*

— Mniejsza o to, rzekłem, na cel dobroczynny dam i cztery.

— Zostaniemy?

— Jużcić trzeba zostać — i zostaliśmy.

Po nieszporach prowadzą nas na długą salę, która się wnet zapełnia. Dokładnie o 4 1/2 zahuczała w bocznej sali kapela — to początek zabawy. Jakoż wnet rozlega się raz i drugi dźwięczny głos dzwonka i kurtyna się podnosi. Jesteśmy w Rzymie, na Awentynie, w domu senatora Eufemiana. Tu też rozgrywa się cała akcja. Dramat jest zajmujący i piękny. Odzywają się naprzemian różne tony: to śmieszny i wesoły, jak w scenach niewolników, to czuły, rzewny, do łez wzruszający, jak sceny św. Aleksego z domownikami i jego skonanie. Młodzi aktorzy grali dobrze; najwięcej oklaskiwano niewolnika Bibulusa.

Nie mniejsze wrażenie sprawiły dwa śpiewy uscenizowane: *Pan Gerwazy* (robotnicy uniesieni niecierpliwością, wyprawiają burdy w przedpokoju powolnego pryncypała) i *Rekreacja*, obrazek wyjęty żywcem z życia zakładowego.

Po raz ostatni spadła kurtyna. Każdy brał swoją laskę, krył się w barany i wyszedłszy z furty, zatrzymywał się czas jakiś, jakby chciał zbadać, czy zima mu co zrobi, nim się do domu dostanie. Ja wgramoliłem się szczęśliwie na sanki, postawiłem kołnierz, obmacałem raz jeszcze wszystkie guzy u futra i pognaliśmy przez rynek, przez białe pola. Za nami wył od mrozu wiatr nocny, ale nikt nań nie zważał.

Stanęliśmy przed małym domkiem. W oświetlonem okienku uchylił ktoś firanki i spojrzał. Nim do drzwi doszedłem, przyświecił mi ktoś z sieni i spytał:

— Szczęśliwie z odpustu?

— Z odpustu i z pałacu Eufemiana na rzymskim Awentynie.

— Co?

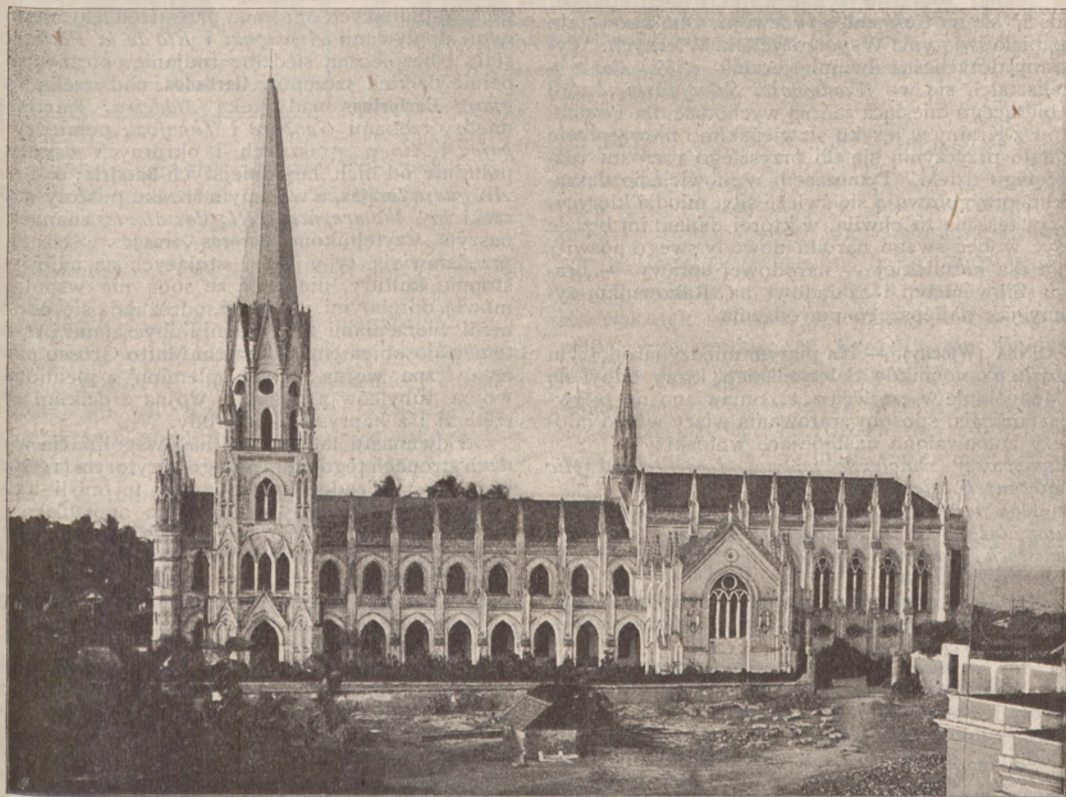
— A no tak...

DASZAWA. — W niedzielę 13. stycznia, wobec licznie zebranej ludności daszawskiej i z okolicy, odbył się w tutejszym zakładzie popis katechizmowy,

w którym wzięło udział 23 chłopców uczęszczających do kaplicy świątecznej. Od dawna okazywała się potrzeba rozbudzenia śród tutejszej dziatwy więcej interesu dla kaplicy świątecznej i więcej zamiłowania do nauki katechizmu. Jakoż gdy pewnej niedzieli adwentowej oznajmiono przybyłym na naukę chłopcom, iż jeżeli się będą pilnie uczyli katechizmu i sprawowali dobrze, odbędzie się popis a najlepsi otrzymają nagrody — to po chłopcach jakby przeleciała iskra elektryczna. Zacierali ręce, podskakiwali, a w młodych fantazyjkach zarysowywały się w żywych kształtach obiecane bluzki i buciki. Nastąpiła kilkutygodniowa wytrwała praca,

Niestety próżno gromił; prożno naród go słyszy:
W kościele to go słucha, z kościoła, to znów grzeszy,
Więc Pan Bóg w gniewie swoim wykonał Skargi groźbę.
. . . .
Jeśli więc naród polski nie chce zaginąć marnie,
Niechaj się całem sercem do katechizmu garnie.
Tak czynią w Wielkopolsce! Największym patrjotyzmem
Jest tam bronić się dzielnie ojczystym katechizmem.
. . . .
Tak my chłopcy daszawscy chcemy w tym nowym roku
Wielkopolskim kolegom dzielnie dotrzymać kroku.

I dotrzymali dzielnie! Mimo że odpowiedzi odnosiły się do 157 pytań dla wyższego a 59 dla niższego oddziału, to jednak, po dwugodzinnej prawie walce, na arenie pozostawało wciąż jeszcze więcej zapa-



Nowy kościół katedralny w Meliapor.

aż nadeszła upragniona niedziela, w której danem im było pokazać czego się byli nauczyli. Po nieszporach wspomnianej niedzieli lud udał się natychmiast do sali rekreacyjnej zakładu, gdzie chłopcy ustawieni półkołem ku publiczności na umyślnie dla nich zawarowanem wywyższeniu, odpowiadali kolejno na pytania stawiane im przez obecnych na popisie księży i zakonnice (nauczycielki szkoły elementarnej). Trzymali się dzielnie; długo trwało, zanim który z zapaśników musiał z pola walki ustąpić.

W krótkich przerwach chłopcy występowali ze śpiewem, djalogiem i wesołemi, pouczającemi deklamacjami. Pomiędzy innemi powiedziano tam o narodzie polskim:

. . . Byłby on do głupiego zaleciał kalwinizmu,
Ale go wczas ksiądz Skarga zwrócił do katechizmu;
Z niego to on wyczytał królowi, szlachcie, stanom:
Jeśli się nie poprawią, Bóg da ich obcym panom.

śników, niż było przygotowanych nagród. Walka stała się wprost interesującą, gdy się okazało, iż ci, co byli ostatnimi wiekiem i wzrostem, stawali się pierwszymi dzielnością: nauczka stąd dla tych, co mówią, iż dzieci zbyt młode niezdolne są uczyć się katechizmu. Słowem, cały popis miał przebieg nader interesujący i wywarł na obecnych głębokie wrażenie.

LUBLANA (Kraina). — Już lat temu, jeżeli się nie mylimy, trzynaście, jak grono naszych Pomocników z Krainy z Przew. ks. Prof. Smrekarem na czele, kierując się głęboką znajomością bieżących czasów i potrzeb narodu słoweńskiego, zapragnęło sprowadzić Salezjanów do Krainy. Pamiętamy dobrze tych pierwszych młodzieńców słoweńskich, którzy przyjechali do Valsalice a potem do zakładu polskiego w Lombriasco. Oni byli pierwszym wyrazem sym-

patji słowieńskiej ku Salezjanom, byli łącznikiem Krainy i Zgromadzenia ks. Bosko. Przybywało ich coraz więcej; znaliśmy pierwszych kleryków, pierwszych księży. Aż wreszcie po długich latach upragnienia powstał pierwszy salezjański zakład w Krainie, na Rakowniku pod Lublaną. Było to w roku 1901.

Trudne były początki, jak w każdym zakładzie, który ma przed sobą piękną i wielką przyszłość. W warunkach często niepomyślnych i trudnych pracowali z poświęceniem młodzi zakonnicy na korzyść swego kraju. Uznanie Pomocników i ludzi dobrej woli towarzyszyło ich pracy i umacniało wśród licznych prób. Aż wreszcie w bieżącym roku pod umiejętnem kierownictwem czcigodnego ks. Kowacića zakład zdołał wybrnąć z pierwszego okresu i puścić się na tory stałego rozwoju. Obok powstaje wspaniała świątynia Wspomożycielki Wiernych. Wydawany dotychczas dwumiesięcznik « *Ks. Bosko* » przekształcił się we *Wiadomości Salezjańskie*, które od bieżącego miesiąca zaczną wychodzić dla Pomocników z Krainy w języku słowieńskim i niewątpliwie niemało przyczynią się do przyszłego rozrostu rozpoczętego dzieła. Tymczasem w nowicjacie daszawskim przygotowują się świeże siły, młodzi klerycy, którzy tęsknią za chwilą, w której danem im będzie złożyć wobec swego narodu dowody swego poświęcenia dla katolickiej — narodowej sprawy. — Braciom Słowieńcom i zakładowi na Rakowniku życzymy jak najlepszego powodzenia!

FAENZA (Włochy). — Na piątym międzynarodowym zjeździe Pomocników Salezjańskich, który odbył się w Medyolanie w czerwcu z. r., omawiano na pierwszem miejscu sposoby ratowania wiary wśród młodzieży i uchwalono następujące wnioski:

Zważywszy zbawienne wpływy i potrzebę kaplic świątecznych, zjazd postanawia:

1) *Aby wszyscy Pomocnicy Salezjańscy wszelkiemi siłami dążyli do tego, aby po parafiach, wioskach i miastach powstały kaplice świąteczne wzorowane na duchu ks. Bosko.*

2) *Aby się w tym celu zawiązywały komitety księży, Panów i Pań, któreby dostarczały środków pieniężnych i poparcia moralnego.*

3) *Aby na wzór innych miast przy kaplicach zaprowadzano potrzebne młodemu wiekowi zabawy i szkoły wieczorne albo niedzielne.*

Aby publiczność bliżej zapoznać z podobnymi zakładami, dyrektorowie kaplic świątecznych we Włoszech i wszyscy miłośnicy młodzieży urządzają swój *trzeci zjazd*, w dniach 25-28 kwietnia bieżącego roku, we włoskiem mieście Faenza. Protektorat nad zjazdem objęli kardynałowie ks. Svampa, ks. Ferrari i Richelmy.

Podczas zjazdu odbędą się popisowe ćwiczenia wszyskich katolickich stowarzyszeń gimnastycznych środkowych Włoch.

NOWE FUNDACJE. — Na dziewiczym gruncie Ameryki Południowej ze zdumiewającą łatwością powstają i rozrastają się zakłady ks. Bosko. Niema republiki bez Salezjanów, a co roku dochodzą nas wiadomości o dalszych postępach i objęciu nowych domów. W Europie od dwóch lat wstrzymuje się Zgromadzenie od mnożenia zakładów, a to celem wzmocnienia domów już istniejących. W Ameryce nie dało się to przeprowadzić, pomimo że niemal we wszystkich prowincjach panuje tam dotkliwszy niż u nas brak ludzi i środków. Doroczny list Najprzew. ks. Jenerała (*Wiadomości Salezjańskie* 1907, str. 2) podaje spis fundacji dokonanych w Ameryce w ubiegłym roku. Dowiadujemy się, że w styczniu założono znowu kaplicę świąteczną w **Sucre** w *Boliwji*, dzięki ofiarności p. generała Pastor Saenz, zapalonego wielbiciela ks. Bosko. — Takaż kaplica świąteczna powstała w **Callao** pod **Limą** w *Peru*, a w samej **Limie** jest na ukończeniu budowa nowej szkoły salezjańskiej i kościoła na cześć Wspomożycielki Wiernych. — W **Nictheroy** *(Brazylja)*, gdzie w jesieni ukończono ostatnie roboty około wspaniałego pomnika narodowego na cześć *Wspomożycielki* (wieży wysokiej 40 metrów z figurą Matki Boskiej, wysoką 6 metrów a wykonaną z miedzi złoconej), wznosi się obecnie nowy kościół, który ma być dalszym wyrazem hołdu brazylijskiego na cześć Wspomożycielki Wiernych.

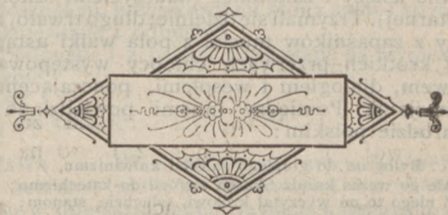
MATTO GROSSO (Brazylja). — W niedostępnych lasach, zajmujących ogromną przestrzeń nad niezliczonymi dopływami *Amazonki* i *Rio de la Plata*, mają stałą i bezpieczną siedzibę Indjanie potężnych i zupełnie dzikich szczepów **Barbados** nad rzeką *Paraguaj*; **Cariprinas** nad rzeką *Madeira*; **Parecis** pomiędzy rzekami *Guaporè* i *Tapajoz*; pomiędzy *Tapajoz* i *Xingu* strasznych i okrutnych **Cajabis**; na południe od nich łagodniejszych **Bacajris**; nad rzeką *Araguaja* **Carajas**, a w samym środku puszczy wzdłuż rzeki *św. Wawrzyńca* i *Rio das Mortes* znanych już naszym Czytelnikom **Bororos-Coroados**. Szczepy te przedstawiają typy ludzi stojących na najniższym stopniu kultury, nie mają ze sobą nic wspólnego, mówią odrębnymi językami, odróżniają się odmiennemi wierzeniami religijnemi i obyczajami i rozmaitem usposobieniem. W całem Matto Grosso panuje ustawiczna wojna: wojna plemion z plemionami, wojna tubylców z białymi, wojna z dzikimi zwierzętami i z kaprysami przyrody.

Od dwunastu lat pracują nasi współbracia w różnych stronach tego olbrzymiego terytorym (1.379.651 klm. kw.). Trudne były początki tej misji i różny jej rezultat. Dopiero od lat pięciu apostolska gorliwość ks. Balzoli i jego towarzyszy zapewniła stały rozwój stacji misyjnych założonych w siedzibach szczepu **Bororos**.

Ks. Antoni Malan, inspektor osad misyjnych w Matto Grosso, podjął się zebrania wszystkich wiadomości historycznych, podań, guseł, obrzędów, obyczajów tego wielkiego szczepu i po wielu latach studjów w utrudnionych warunkach, przesłał nam część swoich spostrzeżeń, bardzo ciekawych i zajmujących. Oczywiście braki tej pracy są widoczne i liczne, ale do dziś dnia jest to najobszerniejsza praca, spisana w lasach, na pniach zwalonych olbrzymów puszczy, tam gdzie nie dotarła jeszcze noga ani białego spekulanta, ani uzbrojonego żołnierza.

W przyszłym numerze zaczniemy ogłaszać barwne stronice naszego misjonarza.

TANJORE (Indje). — Dla braku miejsca zmuszeni jesteśmy zaczekać do przyszłego miesiąca z ogłoszeniem pięknego listu ks. Jerzego Tomatis, przełożonego misji w *Tanjore*, który zawiadamia Najprzew. ks. Jenerała o rozpoczętej budowie zakładu salezjańskiego. Do listu dołączymy dwa piękne widoczki okolicznościowe.





NABOŻEŃSTWO do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej Błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

III. — Gesta Dei per Polonos.

(Odsiecz Wiednia (12. września 1683).

(Ciąg dalszy).

.....Sobieski dosiadł konia i dał znak do bitwy.

Rozległo się pięć strzałów armatnich.

W pięciu kolumnach, jak gdyby pięć żywych, krętych potoków, złożonych z piechoty i jazdy, zaczęło się spuszczać wojsko chrześcijańskie ze szczytów Kahlenbergu. W miarę spłaszczania się stoków gór i zwiększania się wolnej przestrzeni, kolumny rozwijały się w szyk bojowy w trzy linje, spełniając ściśle z niemiecką dokładnością *ordre de bataille* skreślony przez naczelnego wodza. Na lewem skrzydle pod wodzą **Lotaryńczyka** szła piechota austrjacka i jazda Lubomirskiego; środek zajmowali **Sasi, Bawarczycy** i wojska środkowej Rzeszy niemieckiej; prawe skrzydło, polskie, powierzone było hetmanowi **Jabłonowskiemu.** O sobie zapowiedział **Sobieski**, że znajdzie się tam, gdzie najpilniejsza okaże się potrzeba wodza i największe będzie niebezpieczeństwo.

Gdy po trzydniowym, bardzo uciążliwym i wszelkiemi przeszkodami najeżonym marszu z *Tuln*, stanął nareszcie na szczytach gór i ujrzał między sobą a obozem tureckim obszerny i nierówny teren, przerywany lasami, to znów pagórkami i wąwozami, sądził wielki wódz, że należy mu postępować krok w krok „*alla secura*, sposobem Spinoli“ i że nie zdoła spuścić wojska na równinę i zbliżyć się do obozów tureckich, aż po licznych i zażartych utarczkach na forpocztach, co wszystko wedle jego obliczenia mogło zająć dwa dni. Wskazał przytem wodzom niemieckim te szczyty przeciwległych pagórków, na których zamierzał kazać wojsku spędzić noc z 12-go na 13-go września.

Gdy więc według jego rachuby walna z Turkami rozprawa miała się odbyć dopiero 14. września, obdarzyło go niedołęstwo i zaślepienie tureckiego wodza jeszcze tego samego dnia (12. września), w którym akcję rozpoczął, zwycięstwem tak świetnem, jakiemu równe, dzieje powszechne z trudnością tylko mogą wykazać. Stało się to oczywiście jedynie wskutek własnej gnuśności i lekceważenia sobie przeciwnika, że **Kara-Mustafa** tak samo jak nie był przeszkodził wojsku chrześcijańskiemu w przejściu przez Dunaj, jak następnie zaniechał uderzyć na rozdzielone i pojedyńczo na Kahlenberg wdzierające się niemieckie i polskie kolumny, jak wogóle całkiem był zaniedbał obsadzić Kahlenberg, tak i teraz, zamiast osobiście poprowadzić wojska przeciw zstępującym z gór zastępom Sobieskiego i użyć przeciw nim licznej artylerji i jańczarskiej piechoty — wołał sam oblegać dalej Wiedeń, zatrzymując przy sobie piechotę i wszystkie działa, a przeciw Sobieskiemu wysłał tylko lekką jazdę, Wołochów i chmury Tatarów.

Wszystkie błędy strategiczne swego przeciwnika wyzyskał należycie gienjusz wojenny króla Jana.

Jeszcze dnia wczorajszego, zaledwie stanął z wojskiem na szczytach gór, kiedy na widok niezmiernego obozu tureckiego i tłumów przeszło dwustutysięcznych **Kara-Mustafy** zadrżały serca najmężniejszych z niemieckich wojowników, on jeden, przed którego okiem tyle się już przesunęło obozów i wodzów tureckich, zachował spokój umysłu, a przypatrzywszy się pilnie położeniu obozu nieprzyjacielskiego, od razu ocenił wartość tureckiego wodza i obliczył szanse orężnego z nimże spotkania.

Ocenił go i wyraził się o nim, jak pod *Kannami* **Hannibal**, patrzący na wyprowadzającego z obozu rzymskie legiony konsula **Varrona.** „*Messieurs*, rzekł **Sobieski** o Kara-Mustafie do otaczających go wodzów, *cet homme est un ignorant. Nous le battrons.* To głupiec. Pobijemy go. Przypatrzcie się, jak rozłożone

to wojsko. Ani to się okopało, ani ściśnięte w kupę. Stoi, jakobyśmy byli o sto mil od niego. Alboż wobec umiejętnego wodza zdołalibyśmy przeprawić się tak łatwo przez rzekę, jak Dunaj? Czy pozwoliłby nam stanąć na tem miejscu, na którem jesteśmy?“

Słowa te naczelnego wodza rozniosły się w lot po całem wojsku i nietylko mu dodały otuchy, ale wywołały, zwłaszcza pomiędzy Niemcami, zapał i pewność zwycięstwa. To też kiedy 12. września o godzinie 8. rano pod okiem **Sobieskiego** lewe skrzydło (austrjackie), najbliższe nieprzyjaciela, poszło, poparte przez Sasów, pierwsze do ataku i wywiązała się walka z tureckimi *spahisami*, natarcie niemieckich pułków było tak skuteczne, że turecka jazda, nie wspomagana nigdzie przez własną piechotę ani artylerję, musiała wszędzie ustępować chrześcijanom pola i spędzana z pozycji na pozycję, pierzchła ostatecznie w nieładzie po przez *Nussdorf* aż na wzgórza za *Heiligenstadt*.

Chrześcijańskie centrum, nie napotkawszy w tym czasie przed sobą nieprzyjaciela, postępowało zwolna naprzód, starając się utrzymać równą linję z lewem skrzydłem. Około południa obydwie te części wojska sprzymierzonego, spełniwszy wyznaczone sobie zadanie, stanęły u stóp Kahlenbergu i przerwały walkę, aby odpocząć i czekać nadejścia Polaków.

Sobieski udał się teraz na prawe (polskie) skrzydło, które dotąd jeszcze z przyczyny dalekiego i utrudnionego marszu do akcji nie było przyszło i całe przedpołudnie przedzierać się musiało po przez parowy i gęste górskie zarośla.

Tak minęło południe. Oczy niemieckich wodzów i żołnierzy zwrócone były ku pagórkom w okolicy *Dornbach*, skąd polskie hufce zstępować miały. Była już druga godzina. Wtem ponad Dornbach ukazały się proporce, zabłysły w słońcu kopje polskich rycerzy: oczekiwane zastępy stanęły wreszcie na polu bitwy. Ich przybycie powitali Niemcy grzmiącymi okrzykami radości: *vivat rex Poloniae! es lebe der König von Polen!* aż odgłos odbił się w obozie nieprzyjacielskim. Nie czekając rozkazu, oficerowie i żołnierze sami pochwycili za broń i tylko z trudem można ich było utrzymać w szeregach.

Rycerski król powiódł osobiście hufce polskie do boju i sam wziął w nim udział: własnoręcznie zdobył buńczuk turecki, własną szablą zwalił kilku Turków z konia. Na widok proporców husarskich i gdy usłyszeli znany im okrzyk: *Boże, błogosław Polsce!* uwierzyli nareszcie Turcy, czego dotąd nie przypuszczali, że mają do czynienia z **Sobieskim**. **Kara-Mustafa** rzucił się teraz całą siłą na wojsko polskie. Przed głównym swoim obozem ustawił prawie wszystką swoją piechotę, przez co ogołocił i osłabił oba swoje skrzydła, a nadto sprowadził zamieszanie na całej linji; stary wilk wojny, begler-bej Budy, **Ibrahim-basza**, skierował przeciw Polakom wszystkie działa polowe. Wywiązała się zażarta walka, trwająca aż do godziny piątej po południu. Pomimo przeważających sił, Turcy zostali ostatecznie wyparci z pagórków, na szczycie których **Sobieski**, w równej linji z centrum i lewem skrzydłem chrześcijańskiem, zamierzał dać odpocząć strudzonym szeregom i zakończyć na dzisiaj tak szczęśliwie rozpoczętą walkę. Wszakże jego bystre a w licznych z Turkami potyczkach doświadczone oko dostrzegło w tej chwili w wojsku nieprzyjacielskiem wielki natłok i ogólne zamieszanie. Zmieniając zatem pierwotny plan bitwy, pomimo zmęczenia swoich wojowników, wysłał do Niemców w centrum i na lewe skrzydło rozkaz uderzenia ławą, sam zaś stanąwszy przy chorągwi królewicza Aleksandra na czele wszystkiej swej jazdy, skierował atak w samo serce głównego tureckiego obozu.

Była to świetna szarża kawalerji, jakiej podobnej nie wykazują i pono nie wykażą więcej dzieje. Rozpęd jazdy był tak wielki, natarcie tak gwałtowne, że nie było husarza, któryby nie miał kopji potrzaskanej. Rycerstwo polskie przebyło w pędzie strugę *Alsbach*, przesadziło płoty, przedarło się przez zarośla, rowy i różne przeszkody, nieprzystępne nawet dla piechoty, rozbiło w puch nieprzyjacielską jazdę, wpędziło ją na piechotę i własną artylerję, cały ten kotłujący się, ściśnięty i zmieszany tłum zagnało wreszcie pod sam wielki obóz, a gdy i Lotaryńczyk i dwaj elektorowie złamali z łatwością przed sobą stojące szyki, wtedy cała ta ogromna, gdyż dwustutysięczna, masa nieprzyjacielskiego wojska pierzchła pod osłoną nocy w bezładnej ucieczce, zostawiając na pobojowisku 280 dział, 9000 wozów, 125.000 namiotów, pomiędzy nimi namiot **Kara-Mustafy** z wielkimi skarbami i chorągwią Proroka. O 7. wieczorem Wiedeń był oswobodzony; proporzec królewski sterczał ponad namiotem wielkiego wezyra. Cały obóz turecki dostał się zwycięzcom i poszedł na podział. Straty tureckiego wojska dochodziły do 15.000 ludzi; chrześcijanie nie stracili ich nawet tysiąc.

Tak się skończył ten wielki dzień, który na zawsze złamał potęgę muzułmanów; taki był przebieg najświetniejszego czynu oręża polskiego, co po wszystkie wieki sławą okrył polskiego bohatera i naród, który go wydał; takie było to walne zwycięstwo chrześcijaństwa nad islamem, cywilizacji nad barbarzyństwem,

Zachodu nad Wschodem, Europy nad Azją — zwycięstwo, do odniesienia którego Opatrzność Boska powołała Polaków i które dla tego słusznie zwać się może: **gesta Dei per Polonos.**

W całym świecie chrześcijańskim, we wszystkich kościołach zabrzmiały pienia dziękczynne, po wszystkich kazalnicach uwielbiano imię *„człowieka posłanego od Boga, któremu imię było Jan"*; nie było pisarza, poety, któryby go nie uczcił. *Ocaliłeś wszystkie państwa i narody, dałeś życie i wolność przyjaciołom i nieprzyjaciołom: Tobie się należy panowanie nad światem!* „pisała z Rzymu Krystyna królowa szwedzka." *Tyś pierwszy, który we mnie zazdrość wzbudził; zazdroszczę Ci, że jesteś oswobodzicielem chrześcijaństwa."*

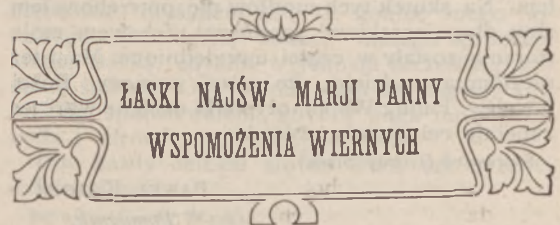
On jednakże, prawdziwy ale i ostatni już rycerz chrześcijański, defensor fidei (1), nie upoił się ani odurzył ziemską chwałą, którą go darzono, i nigdy sobie ani swoim, lecz jedynie Panu Bogu i wstawiennictwu Najświętszej Panny przypisywał zwycięstwo. Kiedy witany okrzykami, pełnymi zapału, przebiegał przed południem chrześcijańskie pułki, ani na chwilę nie uniósł się pychą, lecz zawołał z pokorą słowy psalmisty: *„nie nam, Panie, nie nam, ale imieniowi Twemu daj chwałę"* (psalm CXIII) donosząc Ojcu św. o zwycięstwie, rozpoczął list od słów: *venimus, vidimus, et Deus vicit;* (2) pierwsze słowa listu, pisanego do królowej Marji Kazimiery, były: *„Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i chwałę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nie słyszały."* Rycerz chrześcijański dał chwałę Bogu z czynu swego, to też Bóg wywyższył go już na tej ziemi, gdyż jak daleko sięga chrześcijaństwo, choć już 200 lat upłynęło od wiedeńskiej potrzeby, chociaż imię Polski u obcych zaledwie się wspomina, to po dziś dzień każdy, choćby średnio tylko wykształcony katolik, zna i z największą czcią wymawia imię **Jana Sobieskiego.** Oswobodzonemu zaś przez niego miastu od 200 lat przypomina ciągle to wydarzenie następująca dziękczynna tablica: *Da, Vienna, Deo gloriam, serenissimo regi Polonorum gratias age, aeternum fove nomen et gesta polona* (3).

Jak wielki wódz, podobnież Kościół katolicki widział w zwycięstwie pod Wiedniem wyraźne działanie Opatrzności Boskiej i opiekę Najśw. Panny. Stąd Ojciec św. **Inocenty XI** naśladując Papieża **Kaliksta III,** który na pamiątkę zwycięstwa chrześcijan pod Białogrodem (r. 1456) ustanowił był święto *Przemienienia Pańskiego* (mające się obchodzić dnia 6. sierpnia), odznaczył również i uwiecznił po wszystkie czasy odsiecz Wiednia, ustanawiając święto **Imienia Marji,** mające przypadać na każdą 2-gą niedzielę września; w stolicy chrześcijaństwa zaś wzniósł, dopełniając przyjętego na się ślubu, przy *Forum Traianum* kościół na cześć Najśw. Panny *Della Vittoria.*

(1) Obrońca wiary. Tytuł ten zaszczytny otrzymał Sobieski od Ojca św. Inocentego XI.

(2) Przybyliśmy, widzieliśmy, a Bóg zwyciężył.

(3) Oddaj Wiedniu, chwałę Bogu, najjaśniejszemu królowi polskiemu dzięki, przechowaj wiecznie pamięć imienia i dzieła Polaków.



ŁASKI NAJŚW. MARJI PANNY WSPOMOŻENIA WIERNYCH

Matka Boska Wspomożycielka dźwiga z choroby swego sługę.

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia przyniósł naszej rodzinie niepokojącą wieść o chorobie naszego brata Karmelity Bosego. Kto z nas mógł, pospieszył do łoża chorego, by raz jeszcze ujrzeć ukochanego brata i otrzymać z jego rąk ostatnie błogosławieństwo. Stan jego zdrowia przez kilka dni był zatrważający; choroba (zapalenie oskrzeli) trzymała jego biedny, wyczerpany organizm wciąż między życiem a śmiercią, brak zaś zdolności trawienia pogarszał coraz to bardziej stan ogólny. Chory przyjął również ostatnie Sakramenta, bo doktor czynił małą nadzieję wyzdrowienia, a co takie zapewnienia często oznaczają, o tem każdemu wiadomo.

Wówczas przyszło mi na myśl, by do modłów zanoszonych za chorego współbrata po klasztorach karmelitańskich, dołączyć nowennę do M. B. Wspomożenia wiernych, przez którą ludzie tyle łask otrzymują, tyle cudownych uzdrowień się dzieje O odprawienie nowenny prosiłem nasz dom w Londynie — i oto wczoraj doszła mnie z klasztoru wiadomość, że brat mój ma się lepiej, jest weselszym, żartuje nawet, jednem słowem przychodzi do siebie.

Przejęty głęboką wdzięcznością ku Najświętszej Pannie, łączę głos swój dziękczynny do wesołych hymnów karmelitańskich i wołam z głębi serca: Niech chwała Marji Najświętszej Wspomożycielki rozbrzmiewa po całym świecie aż do skończenia wieków!

Oświęcim (Galicja), 14. 1. 1907.

X. J. K.

***

Z całego serca dziękuję Najśw. Marji Pannie Wspomożycielce za łaski, jakich doznałem w ubiegłym roku. Miałem wtedy utrapienie i zatarg z sąsiadem z powodu drogi i stawu, i poleciłem tę sprawę tejże Pannie Najświętszej, prosząc Ją, aby Ona raczyła być moją Adwo-

katką. I nie zawiodłem się, gdy bowiem nadszedł czas terminu, sprawę rozstrzygnięto w sądzie na moją korzyść.

Tego zaś roku prosiłem Matkę Boskę Wspomożycielkę, aby mi dopomogła do otrzymania stałej posady u mego chlebodawcy, co (mówiąc nawiasem) nie było tak łatwem, gdyż ludność jest tu przeważnie luterska i katolikowi trudno dostać się na jakieś porządniejsze stanowisko. W tym celu poprosiłem WW. XX. Salezjanów w Oświęcimiu o odprawienie według mej intencji nowenny i sam się do niej w domu przyłączyłem. Na skutek tych modłów nie potrzebowałem zbyt długo oczekiwać, ponieważ niebawem moje starania zostały w części uwzględnione. Mam też niezłomną nadzieję, że przy pomocy Bożej i Najśw. Panny Wspomożycielki osiągnę wkrótce zupełnie cel moich zabiegów.

Starawieś (Górny Śląsk).

Paweł Kopocz
Pomocnik.

***

Przejęta nieograniczoną czcią i wdzięcznością ku Najświętszej Marji Pannie Wspomożycielce wiernych, której skutecznej pomocy niejednokrotnie doświadczyłam, dla rozszerzenia Jej czci i chwały chętnie ogłaszam publicznie nowy dowód łaski niedawno doznanej.

Wnuczkę moją w ciężkiej chorobie zagrożoną kalectwem, poleciłam opiece Przenajświętszej Lekarki chorych oraz troskliwości lekarzy wiedeńskich, dokąd dziecinę trzy razy zawożono Temu też możnemu pośrednictwu, jak niemniej zdolności owych lekarzy mamy do zawdzięczenia, że mała pacjentka jest dziś zupełnie zdrową — a obawa kalectwa usuniętą. Na tej więc drodze wyrażam M. B. Wspomożycielce moje najgorętsze podziękowanie, łącznie z prośbą o dalszą opiekę nad domem i rodziną naszą.

Grybów (Galicja) 2. 2. 1907.

Justyna Jendlowa
żona lekarza powiatowego.

Podziękowanie.

W dzień 1. stycznia b. r. mój mąż bardzo ciężko i niebezpiecznie zachorował. W tem wielkiem strapieniu udałam się do WW. XX. Salezjanów w Oświęcimiu z prośbą o nowennę i gdy ta się skończyła, mężowi znacznie się polepszyło — i niebezpieczeństwo minęło. Wdzięczni za tę wielką łaskę, składamy najserdeczniejsze podziękowanie Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa, Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych, oraz przyczynie Św. Józefa i Św. Antoniego.

Sambor (Galicja), 24. 1. 1907.

Ludwika Jurkiewiczowa.

***

Będąc ciężko chorą przez sześć miesięcy, gdy pomoc lekarska żadnej ulgi mi nie przyniosła, udałam się z ufnością do Niebieskiej Lekarki, Najśw. Panny Marji Wspomożenia Wiernych, a jednocześnie poprosiłam księży Salezjanów w Oświęcimiu o odprawienie Mszy świętej i nowenny na moją intencję. Przyrzekłam zarazem, że jeśli mnie ta dobrotliwa Matka wysłucha i podniesie z tej choroby, publicznie Jej za to podziękuję we *Wiadomościach Salezjańskich.*

Doznawszy tego, o co prosiłam, czynię zadość danemu przyrzeczeniu i załączam ofiarę na cele salezjańskie.

Dobromil (Galicja).

Marja Jadwiga Kaznowska.

Skutek nowenny do Marji Wspomożycielki.

Syn mój zachorował ciężko na żarnice, do której to choroby przyłączyło się zapalenie płuc, tak że lekarze go już opuścili, mówiąc mi, iż niema już dla niego nadziei.

Otrzymawszy z pewnych rąk ,,*Wiadomości Salezjańskie*, gdy wyczytałem ogłoszone tamże łaski wyjednane za przyczyną Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, postanowiłem również i ja udać się do Niej z prośbą o pomoc. Odprawiłem więc nowennę według przepisu ś. p. ks. Jana Bosko, przystąpiłem po jej odprawieniu do Stołu Pańskiego i z radością mogę wyznać, iż synowi memu już *w drugim dniu nowenny* polepszyło się widocznie, tak że lekarz z podziwem mi oświadczył, iż tylko Bóg mógł chorobę przemienić, on bowiem (lekarz) wyzdrowienia pacjenta wcale się nie spodziewał.

Przejęty do głębi tak widocznym dowodem macierzyńskiej dobroci Najśw. Panny Marji Wspomożycielki, posyłam ofiarę na odprawienie dziękczynnej Mszy świętej przed Jej cudownym obrazem.

Poznań, 3. stycznia 1907.

I. K.

***

Przez kilkanaście dni cierpiałem na dotkliwy ból oka z powodu wbicia się doń kawałka węgla kamiennego. Miałem zamiar oddać się pod opiekę lekarza; z obawy jednak gorszych skutków, jakie przy operacji mogły nastąpić, udałem się wpierw z prośbą o pomoc do Boskiego Serca Jezusowego i do Najświętszej Matki Wspomożenia Wiernych z tem postanowieniem, że jeżeli zostanę wysłuchany, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezjańskich* i złożę ofiarę na cele salezjańskie. I rzeczywiście M. B. Wsp. W. nie odmówiła mi Swej pomocy, gdyż na drugi dzień po zaczęciu nowenny uczułem nagle oko zupełnie wolne od owej odrobiny węgla, tak że operacja stała się niepotrzebną.

Za tę wielką łaskę niechaj będzie Najsł. Sercu Jezusowemu i Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych cześć i chwała teraz i po wszystkie wieki.

Trzebinia (Galicja).

St. Jaśko.

Uciekajmy się do Marji!

Przed dwoma laty błagałam gorąco Najśw. Pannę Wspomożenia Wiernych o uleczenie syna

(dziewięcioletniego wówczas) z ciężkiej dyfterji, a równocześnie posłałam ofiarę na mszę św przed obrazem Tejże Najśw. Matki i nowennę mającą się odprawić przez dziatwę oświęcimskiego zakładu, przyrzekając, że jeżeli ta Matka miłosierna wysłucha moją prośbę, nie omieszkam umieścić mego podziękowania w *Wiadomościach Salezjańskich*.

Po tej obietnicy synek nasz, który leżał już na wpół umarły, popadł w głęboki sen, z którego przebudziwszy się z widocznemi oznakami polepszenia, prosił, aby zaświecić lampkę przed obrazem Matki Boskiej; następnie zasnął ponownie i spał spokojnie aż do rana. Po przebudzeniu się przyjmował zaraz pokarmy, a po trzech dniach był już prawie zupełnie zdrów: lecz ja nie wypełniłam danej obietnicy.

Może właśnie dlatego popadłam po raz drugi w takie samo nieszczęście, córeczka bowiem siedmioletnia zachorowała mi na szkarlatynę. Choroba wystąpiła tak gwałtownie, iż zdawało się w pierwszej chwili, że żadna pomoc na nic się nie przyda; to też boleść moja nie miała granic. Uciekłam się więc ponownie do tej najlepszej Matki, prosząc jak tylko mogłam o ratunek... Najświętsza Panna wysłuchała moją prośbę po raz drugi, bo dziś i syn i córka czują się zupełnie zdrowymi!

Za ten tak wielki i widoczny cud nieskończone dzięki składamy wraz z mężem potężnej i litościwej Najśw. Pannie, dotrzymując niniejszem danego przyrzeczenia. Dziękujemy zarazem tejże Matce dobrotliwej za wiele innych łask doznanych.

Horodenka (Galicja), 10-11-1906.

WŁADYSŁAW I LUDWIKA HEŁCZYŃSCY.

Ocalenie dziecka.

Synek nasz spadł ze stołu i to tak nieszczęśliwie, żeśmy go się nie mogli docucić. Gdy później przyszedł do przytomności, zaczął wymiotować, co oznaczało zapalenie mózgu. Zrozpaczona, zaczęłam z rodziną odmawiać litanję do Matki Boskiej — i w czasie tej litanji synek usiadł na łóżku, mówiąc, że go już nic nie boli. Wymioty także się już więcej nie powtórzyły.

Za to cudowne ocalenie dziecka niech będzie cześć, chwała i podziękowanie Boskiej Lekarce Marji Wspomożycielce!

Dęba (Galicja), 5. 1. 1907.

WINCENTYNA WNĘKOWSKA.

* * *

Czyniąc zadość danej obietnicy, składam serdeczne podziękowanie Najsł. Sercu Jezusowemu i Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych za wyleczenie mnie z niebezpiecznej choroby.

W roku 1905 zacząłem odczuwać dotkliwy ból w lewej nodze, który w końcu wzmógł się do tego stopnia, że byłem zmuszony poddać się operacji. Dokonano jej szczęśliwie w styczniu 1906 r. Niestety tego samego dnia umarły mi u tejże nogi wszystkie palce, pięta zaś stała się zimną jak lód, a później zaczęło z niej ciało odpadać. Dla uratowania tego, co się ratować dało, odjęto mi najpierw mały palec — a potem wszystkie: ból miałem nie do opisania. Mimo to z czasem zagoiły się rany i wypuszczono mnie ze szpitala. — W podróży musiałem się widocznie zbytnio wysilić, bo przyszedłszy do domu, noga opuchła mi do samego kolana, co zniewoliło mnie do powrócenia do szpitala św. Alberta w Opolu. I znowu powtórzyła się ta sama operacja. Nogę przewiercono mi pod kolanem na wylot: boleści cierpiałem wprost nieznośne; myślałem już, że koniec mego bolesnego żywota się zbliża, dlatego prosiłem Matkę Boską, aby mi wyjednała szczęśliwą godzinę śmierci. Ona jednak dała mi więcej, aniżeli się spodziewałem, gdyż i noga mi się zagoiła i zdrowie moje się polepszyło.

Oby każdy uciekał się do Pani tak możnej i dobrotliwej!

Brynica (Górny Śląsk).

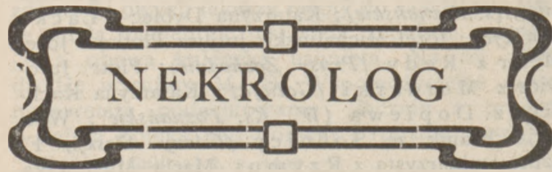
JAN NIEMCZYK.

* * *

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Stanisława Tylmanowa z Kloppenburga *(Pomorze)*; Emanuel Wolny z Rokicza (*Górny Śląsk*); F. i A. Święchowie z Jadachów (*Galicja*); Stanisława Rymarkiewiczowa z Rogoźna (*W. Ks. Poznańskie)*; Katarzyna Dybiec z Łącka (*Galicja*); Józef Michaliński, Juljusz Plotke i Józef Meyer z Redy *(Prusy Zachodnie)*; Piotr Jurowicz z Mordarki *(Galicja)*; Katarzyna Kachlicka z Dopiewa (*W. Ks. Poznańskie*); Wiktorja Franik ze Sośnicy *(Górny Śląsk)*; F. Szp. seminarzysta z Rzymu; Marja Muślewska ze Śremu (*W. Ks. Poznańskie*); Emilja Myszalowa z Krakowa; Albina Koza z Glinicy (*Górny Śląsk*); F. K. z Kruświcy *(Wielkie Ks. Poznańskie)*; Barbara Mleczkowa z Ocieki (*Galicja*); Franciszek B. z Koronowa *W. Ks. Poznańskie)*; Ks. Hulewicz z Koszut *(W. Ks. Poznańskie)*; Józef Zemanek z Nowego Sącza (*Galicja*); Jan i Marjanna Wachowiakowie z Trzciela *(W. Ks. Poznańskie)*; A. G. z Mielca *(Galicja)*; N. Grabowska z Murkowic *(W. Ks. Poznańskie)*; Ks. M. B. z *Wielkiego Księstwa Poznańskiego;* Wiktor Ipta z Kopaniny *(Górny Śląsk)*; Olga Pawęcka ze Lwowa; N. J. z (*Galicji*); Rozalja Wełnicowa ze Samolęża *(W. Ks. Poznańskie)*; Juljan Lewandowski z Mokrego (*Prusy Zachodnie);* Szczepan Skupień z Jaworzna (*Galicja*); A. M. z Germakówki (*Galicja*), za pomoc w bardzo ważnej sprawie; Józef Segin z Halicza (*Galicja*), za wyzdrowienie żony i dziecka; A. Tucholska ze Żnina *(W. Ks. Poznańskie)*, za wygranie procesu; Klara Soppa z Imielnicy *(Górny Śląsk)*, za wyzdrowienie dziecka z ciężkiej niemocy w nogach; Konstanty

Czyba z Królewskiejhuty *(Górny Śląsk)*, za wyzdrowienie swoje i syna; Antoni Brzoza z Grochowiec (*Galicja*), za wyzdrowienie żony z ciężkiej słabości; Wiktorja Konieczna z Kunic (*Galicja*), za wyzdrowienie mamy; L. K. z Brynicy *(Górny Śląsk)*; za pomyślny wynik procesu; L. Z. z Draganówki (*Galicja*), za wybawienie z przykrego położenia; N. N. z Królestwa Polskiego, za polepszenie zdrowia żony; M. Rozwadowska z Babina (*Galicja*), za wyjednanie pewnej łaski za wstawieniem się dusz czyścowych; Franciszek Dyba z Bołszowiec (*Galicja*), za wyzdrowienie z ciężkiej niemocy; Wiktorja Błażak ze Sarbinowa (*W. Ks. Poznańskie*), za odzyskanie zdrowia; Jan Galigóra z Bołszowiec *(Galicja)*, za dostanie roboty; P. St. z Dubina *(W. Ks. Poznańskie)*, za wygranie procesu w sprawie języka polskiego; Emil Hartwich z Węgierskiej Górki (*Galicja*), za wyzdrowienie dzieci; S. Bloch z Dźwierzchna (*Prusy Zachodnie*), za bardzo dobre przygotowanie ojca swego na śmierć; Kasper Macioszek z Tarnowic (*Górny Śląsk)*, za wyzdrowienie żony z bardzo ciężkiej choroby; M. B. z *W. Ks. Poznańskiego*, za pocieszenie w smutku i zmartwieniu; A. W. Th. ze Środy (*W. Ks. Poznańskie*), za wygranie procesu; Józefa Milanowa z Wielopola skrzyńskiego (*Galicja*), za wyzdrowienie córeczki z dyfterji i szkarlatyny; Antoni Błaszczyński, dentysta, z Grabowa *(W. Ks. Poznańskie)*, za pomoc przy sprzedaży domu rodakowi; Franciszek Warchał z Konkolników (*Galicja*), za wyzdrowienie z choroby sercowej; Józef Cybulski z Sant Angelo *(Brazylja)*, za uniknienie zatrucia krwi w nodze.



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Baranowska Juljanna, — Miechucin, *Prusy Zachodnie*.
Biełowski Jan, — Goręczyn, *Prusy Zachodnie*.
Biernacik X. Dalmacy, — Tyśmienica, *Galicja*.
Chłapowska Marja, hrabina, — Czerwonawieś, *Wielkie Księstwo Poznańskie*.
Dobrzański Michał, — Kalwarya, *Galicja*.
Kanat Franciszka, — Dwory, *Galicja*.
Kania Andrzej, — Podolany, *Galicja*.
Kania Jan, — Czuchów, *Górny Śląsk*.
Klumeczko Wojciech, nauczyciel, — Babice, *Galicja*.
Komorowska Matylda, hrabina, — Morańce *Galicja*.
Kopiński X. Wojciech, — Siepraw, *Galicja*.
Kozłowska Franciszka, — Col. S. Ignazio, *Brazylja*.
Kroplewska Marcjanna, — Wiele, *Prusy Zachodnie*.
Kudlek Piotr, — Przeszlebie, *Górny Śląsk*.
Kula Jan, — Lawek, *Górny Śląsk*.
Kurzacki Antoni, — Rybna, *Górny Śląsk*.
Kusz Antoni, — Juńcewo, *W. Ks. Poznańskie*.
Lewandowska Józefa, — Srebrniki, *Prusy Zachodnie*.
Lewicki X. Teodor, — Przemyślany, *Galicja*.
Ludkiewicz Filip, nauczyciel, — Jarosław, *Galicja*.
Łysak Mikołaj, — Paryszcze, *Galicja*.
Malik Filip, — Zalasowa, *Galicja*.
Mróz Wojciech, — Skrzynka, *Galicja*.
Mrzygłód Franciszek, — Ruda, *Górny Śląsk*.
Noras Jakób, — Lawek, *Górny Śląsk*.
Nowak Ambroży, — Filipowice, *Galicja*.
Nowak Katarzyna, — Skrzynka, *Galicja*.
Nycz Walenty, — Stary Bieruń, *Górny Śląsk*.
Olszewski Karol, — Stanisławów, *Galicja*.
Paradowska Barbara, — Złotowo, *Prusy Zachodnie*.
Paw Petronela, — Filipowice, *Galicja*.
Piskozub Józef, — Kołomyja, *Galicja*.
Pokorski X. Teodor, — Ujście, *W. Ks. Poznańskie*.
Potomski Antoni, — Glinice, *Górny Śląsk*.
Popiołek Agnieszka, — Ciencisko, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Pożor Paweł, — Krassowa, *Górny Śląsk*.
Priebe Michał, — Pawłowo, *WielkieKs. Poznańskie*.
Pryga Florjan, — Żarówka, *Galicja*.
Rother Franciszek, — Ligota, *Górny Śląsk*.
Rozmus Helena, — Filipowice, *Galicja*.
Rzepka Zofja, — Uście solne, *Galicja*.
Sabat Wanda, — Kossów, *Galicja*.
Sawicki Jerzy, — Montrésor, *Francja*.
Skrzypczyk Marja, — Gosławice, *Górny Śląsk*.
Smuda Franciszka, — Tarnów, *Górny Śląsk*.
Stanik Michał, — Bytom, *Górny Śląsk*.
Stanusz Piotr, — Miechowice, *Górny Śląsk*.
Stawacz Jakób, — Zabłocie, *Galicja*.
Stawska Juljanna, — Ostrzeszów, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Stołecki Bartłomiej, — Brzęskowice, *Górny Śląsk*.
Stramski Jan, nauczyciel, — Siersza, *Galicja*.
Swaczyna Agnieszka, — Rokicz, *Górny Śląsk*.
Sznura Jan, — Pyskowice, *Górny Śląsk*.
Szygula Klara, — Długawieś, *Górny Śląsk*.
Waszkiewicz X. Wojciech, — Jarocin, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Wątroba Jan, — Krzeszów, *Galicja*.
Wilkowska Siostra Hijacynta, — Hałcnów, *Galicja*.
Winiarz Juljan, — Hołowiecko, *Galicja*.
Wójcik Jakób, — Dwory, *Galicja*.
Zieliński Franciszek, — Philadelphia, *Ameryka Północna*.
Zingler X. Stanisław, proboszcz, — Żytowiecko, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Żurawski Andrzej, — Pilchów, *Galicja*.
Zych Paweł, — Rybna, *Galicja*.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI. (Trento-Austria).